Nr. 18. Lwów, Niedziela dnia 30. Grudnia 1877 r. **Tom VI.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni T. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8, place de la Bourse.

O METODZIE PRACY NAD LUDEM.

VI.

Gospodarstwo rolne włościan.

W nader cennej pracy statystycznej o stosunkach uprawy ziemi w naszym kraju wykazuje dr. Tadeusz Pilat, iż na ogólną przestrzeń roli ornej w Galicyi wynoszącą 6,239 000 morgów, należy 4,654.000 morgów czyli 75% całego obszaru do włościan. Wszystkiego zaś razem należy do posiadłości rustykalnych 7,856.000 morgów ziemi, czyli około 58% powierzchni *całego kraju!*

Cyfry te objaśniają wymowniej, niż jakiekolwiekbądź inne argumenta, jak doniosłe miałoby to znaczenie dla kraju, gdyby sposób gospodarowania włościan ulepszał się, gdyby kultura olbrzymich obszarów, należących do włościan, nie znajdowała się w tak haniebnem zaniedbaniu, jak to obecnie ma miejsce.

Zaprawdę, gdybyśmy w kraju mieli tysiąc stowarzyszeń przyjaciół ludu, gdyby te wszystkie stowarzyszenia nie istniały, jak to się czasem zdarza — od parady, ale gdyby wszystkie pracowały z wytężoną gorliwością, to wszystkie miałyby co do czynienia, i z pewnością pozostałoby dość roboty i dla drugiej armii pracowników na tej niwie!

Tu dopiero, w kwestyach gospodarki rolnej dotyczących, schodzą teorye o potrzebie pracy nad ludem na pole praktyczne — tak obszerne, że gdy sobie pomyślimy jak nieliczną jest drużyną „przyjaciół ludu", którzy z przekonania podobnemi sprawami zajmować się mają ochotę, to tak się nam wydaje, jak gdyby garstka zuchwalców brała się łopatami do zrównywania Karpat.

Czyż kto temu zaprzeczy, że dotąd tylko opierać się zdołamy ostatecznej i bezpowrotnej zagładzie, dotąd istnieć możemy jako naród żywy, dokąd obce żywioły nie wyrugują naszych ludzi z posiadania ziemi? A jak w dzisiejszych czasach własność ziemska w naszym kraju (mianowicie co się tyczy włościan) podminowaną została przez rozmaite elementa napływowe — o tem podobno zbytecznem byłoby rozwodzić się.

Niezdarny i w najwyższym stopniu niedbały sposób gospodarowania naszych włościan sprawia, iż jeden rok nieurodzajów sprowadza głód i epidemie głodowe na całe okolice. Pomimo, że posiadłość ziemska nie jest u nas tak rozdrobioną jak w innych, ludniejszych krajach zachodnich, t. j. pomimo że u nas większa przestrzeń uprawnej roli przypada na głowę w przecięciu, niż np. w Belgii albo nad Renem, to przecież zbiory nasze zaledwie tylko wystarczają na wyżywienie ludności krajowej. A gdy z każdym rokiem rosną ciężary publiczne, jakiemi obłożoną jest własność ziemska, gdy wzrastają także i potrzeby pieniężne ludności w miarę podnoszenia się poziomu jej cywilizacyi, to dochód z roli dotychczasowy musi okazywać się coraz mniej wystarczającym. W tem właśnie tkwi tajemnica, zkąd to pochodzi, że trzydzieści lat swobody, jakie upłynęły od czasu zniesienia pańszczyzny, że podwyższenie cen wszystkich ziemiopłodów, i łatwość ich zbytu, wskutek udoskonalenia środków komunikacyi, nie tylko niewpłynęła na polepszenie stanu materyalnego włościan, ale przeciwnie zadłużyli się oni teraz do tego stopnia, że ich wierzyciele czy chcą czy nie chcą *muszą* im przyznawać bardzo długo trwające moratorya, bo gdyby chcieli zlikwidować od razu prawomocne już pretensye, to najprzód mogliby spowodować rzeź, albo inną jaką katastrofę społeczną, a następnie musiałyby rozległe obszary ugorem leżeć — dla braku rąk do ich obrobienia. Dlatego to bank włościański — chociaż krzyczą na niego, że za wiele gospodarstw chłopskich licytuje, boryka się z ciężarem przeszło dwóch milonów złr. zaległości, dlatego żydzi tylko w nagłej ostateczności licytują swoje ofiary.

Polepszenie stanu zagospodarowania rustykalnych obszarów ziemskich jest dla ogólnych naszych interesów narodowych kwestyą żywotną. Dokąd bowiem nędza będzie gniotła tę najliczniejszą klasę ludności rodzimej, dotąd zdrowa cywilizacya musi opornie szerzyć się, dotąd nie możemy spodziewać się pokoju w łonie naszego społeczeństwa. Tłum bezradny, wygłodniały, umysło o przygnębiony, który zawistnem okiem patrzy na każdego, kto nie bieduje tak jak on, łatwiej niż jakąkolwiek inną naukę będzie chwytał komunistyczne podszepty ułudne, nęcące go nadzieją łatwego wydobycia się z tego jarzma nędzy, w jakie wcisnęło go własne lenistwo, niedbalstwo, pijaństwo i lichwa.

Ale jaką drogą wszczepiać w te milionowe masy, twardo trzymające się zacofanych tradycyi zasady postępowego gospodarstwa.

Czy przez książki?

Kiedy ich włościanie nie czytają wiele — a jeżeli gdzie i czytają, to nie bardzo sobie biorą do serca drukowane nauki.

Czy przez elementarne szkoły rolnicze?

Podobno najgorętszy ich zwolennik nie przypuści, ażebyśmy prędko doczekali się w Galicyi tylu szkół niższych rolniczych, iżby one jakiś wpływ wywrzeć mogły na ogólny stan gospodarstw włościańskich

Czy przez zakładanie t. z. gospodarstw wzorowych?

Gdyby nawet ten środek był tak bardzo skutecznym (o czem podobno wątpią praktyczni rolnicy), to kto i czyim kosztem miałby takie gospodarstwa utrzymywać?

Czy przez kółka włościańskie przyczepiane do filii istniejących dwóch towarzystw rolniczych?

Lwowskie tow. gospodarskie próbowało tego środka. Przekonało się jednak, że to do niczego się nie przydało.

Więc cóż robić?

Nam się zdaje iż jedyna na to recepta: *zrobić lud sam swoim nauczycielem, wzbudzić w nim samodzielne poczucie potrzeby postępu w gospodarstwie, ośmielić go do przyjmowania użytecznych nowości, zachęcić go do prób i doświadczeń postępowych.*

Najprędzej, najtańszym kosztem i najskuteczniej cel ten, jak mniemamy, możnaby osiągnąć za pomocą następujących środków:

1. Przez rozesłanie w rozmaite okolice kraju wędrownych nauczycieli zręcznych i wymownych;

2. przez misye gospodarskie, urządzane na wzór jezuickich misyj kościelnych;

3. przez organizowanie parafialnych lub gminnych miejscowych bractw, na wzór kościelnych bractw albo t. z. bractw wstrzemięźliwości, z tym dodatnim celem na oku, ażeby członkowie tych drobnych korporacyi ludowych systematycznie zaprawiani byli do ulepszeń w gospodarstwie, i aby stali się przez to pionierami postępu rolniczego pomiędzy masami włościańskiej ludności.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Był to dzień późnej jesieni, ale pora pogodna i ciepła. Lasy złociły się już przedśmiertnemi barwami; po polach słały się nici pajęcze; w powietrzu była cisza dziwnego, tęsknego uroku. Pani Spytkowa miała zwyczaj przejeżdżać się konno, od owdowienia jednak swego, polowania prawie zaniechała; rozrywka ta, przypominająca jej ciężkie lata, w których była jedynem roztargnieniem i chwilą swobody, teraz jej stała się obojętną. Czasem jednakże kazała podać wierzchowca, i ludzie do tego przywykli, że sama jedna puszczała się w cwał na lasy, po kilka godzin bujając tak z myślami i bólem, zdala od natrętnych świadków. Z południa tego dnia zadzwoniła i kazała sobie podać karego wierzchowca, który stał prawie zawsze gotowy. Przyprowadził masztalerz, chcąc pani towarzyszyć, ale go odprawiła, zapowiadając, że sama chce krótką uczynić przejażdżkę.

Nie było w tem nic nadzwyczajnego; puściła się więc samotna ku swoim ulubionym lasom i nikt się nie zdziwił, że z pięknego wieczoru chciała korzystać. Są czasem dziwne trafy, których nic wytłumaczyć nie może, a od których wiele w życiu zależy. Pani Spytkowa czuła i wiedziała, że nie szukając, spotka dnia tego Jaksę; puściła cugle koniowi i przyspieszyła jego bieg w tę stronę, gdzie były Rabsztyńce. Powiedziała sobie w duszy, że jeśli go spotka, stanowczo raz z nim rozprawić się musi.

Jak? o tem nie wiedziała sama. Pragnęła użyć dawnej nad nim przewagi, aby go od prześladowania odciągnąć; nie była jednak pewną, na czem się może skończyć rozmowa. Chciała być groźną i straszną, ale się lękała słabości zarazem. Jechała z jasnowidzeniem, że jej nie minie spotkanie z kasztelanicem. Chwilami strach ją ogarniał i pragnęła wrócić... a jednak jechała dalej... ciągnęło ją coś i popychało.

Gdy z dumań tych, którym gwałtowne bicie serca towarzyszyło, rozbudziła się, gałęzie drzew na wąskiej ścieżce leśnej biły ją po twarzy; była wśród gęstwin dobrze sobie znanych... Na krętej drożynie wiodącej do Rabsztyniec koń niekierowany szedł sam dziwnym jakimś instynktem... Serce uderzało w piersi coraz gwałtowniej; obawiała się podnieść oczy, tak była pewną, że go zobaczy...

Jakoż tętent drugiego konia dał się słyszeć po za nią, coraz bliżej... Na ścieżce mignął jeździec... Był to Jaksa, w myśliwskiej starej kurcie, w ubraniu prawie odartem, z twarzą bladą, wyschłą, straszną niemal, wyrazem posępnym i groźnym.

Zobaczywszy i poznawszy wdowę, zatrzymał konia nieco; zdawał się namyślać, czy ma zwrócić się, czy minąć ją; potem go ścisnął ostrogami i w susach kilku, uchylając czapki, przebiegł nie zatrzymując się.

W przelocie spotkały się dwa wejrzenia nieokreślonego wyrazu: gróźb, żalu i gniewów więcej w nich było niż miłości. Spytkowa zarumieniła się, chciała krzyknąć, lecz głosu jej zabrakło zrazu. Potem zawołała:

— Stój!

Kasztelanic się odwrócił, koń jego wrył się w ziemię, tak silnie targnął cuglami.

— Stój! — powtórzyła zacinając karego pani Spytkowa... — choćby nawet miano nas tu spotkać, podejrzeć, podsłuchać i roznieść po świecie, że w lasach szukam pokryjomo waćpana, mniejsza już o to; raz musimy się rozmówić z sobą... Szukałam go w istocie...

— Mnie! wy? — zapytał cicho i prawie zawstydzony Iwo — mnie? pani?

— O! nie kłamże, człowiecze bez wstydu i bez serca, który znasz tylko namiętność, a nie rozumiesz poświęcenia, nie kłam! — gwałtownie zawołała kobieta. — Wiedziałeś, że mnie przywiedziesz do tego, pracowałeś na upokorzenie, na łzy moje... szło ci o nędzne to zwycięstwo pychy, otrzymane przewrotnymi, lichymi, niegodnymi was środkami.

— Nie rozumiem — odparł Jaksa — wszak żadnych już nie ma między nami stosunków... Cóż ja...

— Ale nie kłam, przewrotny, i zarumień się! — powtórzyła kobieta. — Któż, jeśli nie ty, narzucił nam ten proces? Nękasz mnie i prześladujesz. Powiedzże czego chcesz, czego żądasz odemnie?

Kasztelanica twarz się zmieniła, obawa pierwszej chwili, czy wstyd może, ustąpiły z niej. Ironiczny uśmiech paczył mu usta, oczy błyskały z chmurnego czoła..

— Czego ja chcę? — zawołał — to pani wiesz tak dobrze jak i ja. Chcę napowrót serca, dłoni, ciebie... kobieto... któraś powinna była być moją!

— I zdobywać mnie chcesz zemstą, podstępem?

— Czem mogę. Zamknięte serce, jeżeli go nie otworzy promień uczucia, jak konchę zamkniętą potrzeba nożem rozedrzeć..

— Skrwawić...

— I zabić choćby... bo na grobach pokój rośnie.

— Ale ja się brzydzę tobą..

— Ale ja was nienawidzę także... Tylko — dorzucił kasztelanic — moja nienawiść jest jeszcze namiętnością, co się w najgwałtowniejszą miłość na skinienie twe zmienić potrafi

— Tyś podły! — zawołała drżąc kobieta.

— Tak, podłym jestem, spodliłem się dobrowolnie, tarzam się w błocie, to moję gorączkę osładza! Cóż mam do stracenia?..

— Tyś mściwy! tyś bez litosci!..

— Zemsta, rzecz dodatkowa — rzekł chłodno Jaksa — ona się tu doskonale godzi z moją dla was namiętnością. Spytek mi wydarł narzeczoną, nadzieję, młodości szczęście; ja Spytkom wydrę majętność, dziecięciu matkę i opiekunkę... i zgniotę...

Kobieta krzyknęła... Jaksa, którego gniew unosił, powstrzymał się.

— Alboż moja zemsta — zawołał zmieniając głos — nie jest obowiązkiem względem mojej rodziny i przeszłości, alboż myśmy mało cierpieli od nich? Nie mamyż prawa oddać im wet za wet. Patrz, do jakiej nędzy i upadku przywiedli oni Jaksów. Czyż robak wreszcie nie ma podnieść głowy i bronić się, gdy może ukąsić? A wy... cóż wam do nich? Dość tego! To plemię skarlałe skazanem jest na zgubę!

— Moje dziecko! — zawołała Spytkowa — moje dziecko!.. i więcej wymówić nie mogła.

Jaksa zamilkł

— Nie wasze to, ale ich dziecię — rzekł chmurno znowu — niech pójdzie spróbować nędzy, upokorzenia, osamotnienia, któremi ja się poiłem, czas mu do tego kielicha. Nie! nie będę miał litości! Tak jest! Ten proces ja wam rzuciłem na barki i zniszczę was nim...

— I sprawiż ci to rozkosz, człowiecze bez duszy?

— Sprawi, bo innej nie mam. Pożeram głodny, co mi los daje.

— A bezduszny! — zawołała zmieszana, prawie ze łzami Spytkowa. — Więc nawet dla mnie, w imię przeszłości, rozbroić się nie dasz i zmiękczyć?

— Wy zniżacie się do prośby?

— Nie proszę.. przeklinam!...

— A jednak moglibyście odwrócić niebezpieczeństwo — rzekł Jaksa — ale musicie zerwać z przeszłością, poświęcić mi Spytków, być moją, oddać mi rękę...

Spytkowa zmierzyła go okiem groźnym.

— Tak — rzekła z uśmiechem gorzkim — wprowadzić was na ten zamek, uczynić ojczymem dziecka, którego nienawidzisz... spodlić się przed światem.. Sądzisz mnie do tego zdolną?... Nie! raczej umrzeć!..

— Więc wyście pragnęli tylko, w imię dawnej miłości, rzucić mi jaki ochłap swojego bogactwa, jak nędzarzowi, jak rozbójnikowi, i odpędzić precz? Wytargować za uśmiech swobodę, mienie, przebaczenie, i pozbyć się Jaksy natrętnego? To się tylko w sercu i głowie niewiasty urodzić mogło... Znacież mnie takim, jakim kilkanaście lat chłosty mię uczyniły? wiecież wy, żem wściekły, zły, żem ostygły i że nawet reszta miłości dla was zapłynęła żółcią, tak, że miłość jest goryczą i rozdzielić ich już nie można? Baranka łagodnego chcieliście mieć ze mnie, ale jam wilczysko wściekłe!

— Chcecie mnie zastraszyć — odparła wdowa. — Powinniście pamiętać, że i ja nie jestem tą słabą, łzawą niewiastą jaką byłam... i ja...

Ale gdy to mówiła, łzy popłynęły jej z oczów i łkanie przerwało mowę. Jaksa patrzył milczący. Czego wspomnienia nie dokonały, to cudownie łza jedna spełniła; serce się jego poruszyło, zmiękł, posmutniał, zmienił się. Konia swego zbliżył ku wdowie, zamyślony, posępny, ale widocznie wzruszony.

— Jeszczeżby — pomyślał — mieli mnie i przez nią starzy wrogowie nasi zwyciężyć? i przez nią... przez tę, która była moją...

którą mi odebrali, aby ją przeciwko bezsilnemu obrócić?.. Powiedz — począł z cicha — powiedz mi, nie maszże ty litości żadnej? chcesz bym się wyrzekł zemsty, nadziei, bym dla twego spokoju, dla ocalenia ich, poświęcił się.. zaparł, ginął?. Cóż mi dasz w zamian?.. trochę litości i wiele pogardy... Ależ każdy ma swą chwilę zwycięstwa w życiu, a jabym miał być jej pozbawionym? powiedz!.. O, jakże dziwnie splotły się nasze losy!... Stoimy zajadłymi nieprzyjaciółmi przeciwko sobie.

— I ty... ty mi nic nie chcesz poświęcić? — łagodniej rzekła kobieta — nic!..

— Ja? wszystko — odparł smutnie Jaksa. — Tak jestem spragniony jednego dobrego słowa, że za nie... Ale ty mną pogardzasz...

— Bo zasługujesz na wzgardę..

— Lecz, lecz gdybym ci wszystko poświęcił... cóż mi dasz w zamian?..

Spytkowej zabrakło głosu.

— Nie zdobywaj mnie i szczęścia — zawołała żywo..., — gwałtem i musem, nie zabijaj wspomnień lepszych. Bądź wielkim i szlachetnym... nie sprzedawaj mi uczucia swego... Serce kobiety tylko tem się odzyskuje. Nie poniżaj mnie, podnieś siebie!..

Kasztelanic dumał, oparty na siodle.

— Kusicielko — zawołał — rozbroić mnie chcesz i rzucić potem łachmanem na drodze, aby mnie ludzie stratowali... Ha! stań się wola twoja!.. Dosyć cierpiałem, mogę już docierpieć do końca. Kochałem cię i kocham nawet tą zemstą i nienawiścią, poddam się. Zetrzyj mnie. Ale słuchaj kobieto!.. jeśli jest Bóg, sprawiedliwość, niebo i piekło.. kara i nagroda... to spytają cię na innym świecie o dolę moję. Trzymasz ją w ręku. Zrobię wszystko czego żądasz... spełnię rozkaz! Jam twój, ja nie dopominam się o nic, nawet o uśmiech i spojrzenie. Bądź spokojną. Jaksowie zginą, ale ich grób... będzie godzien byś na nim łzę wylała.

Spiął konia, skłonił głowę i zniknął. Spytkowa stała długo w miejscu, z oczyma łez pełnemi, nie wierząc jeszcze otrzymanemu zwycięstwu. Sam koń jej rżąc zawrócił się ku domowi i niekierowany rączo się puścił do Mielsztyniec. Gdy stanął przed gankiem, zsiadając, zaledwie mogła pani Brygita zdać sobie sprawę z tej sceny dziwnej, nieprawdopodobnej, a zakończonej niezrozumiałym jeszcze dla niej tryumfem. (C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

Tadeusza Korzona.

VICO

I.

Neapol i myśliciele neapolitańscy.

(*Ciąg dalszy.*)

Już Neapolitańczyk (z Kozencyi) *Telesio*, wyzwoliwszy się z pod nacisku kommentatorów Arystotelesa, zdobył wysokie stanowisko w literaturze europejskiej dziełem filozoficznem o przyrodzie *) i zasłużył u Bakona na tytuł pierwszego nowatora (w końcu XVI). Jeszcze większego rozgłosu nabył dominikan *Giordano Bruno* (ur. w Noli 1550 r.). Znając doskonale język i filozofię grecką, chwyta umysłem przenikliwym a zuchwałym najrozmaitsze zagadnienia z najwyższych sfer filozofii, a wierzy nie w doświadczenie, lecz w „światło wewnętrzne", w „rozum przyrodniczy," w „podniosłość inteligencyi. W dyalogach swoich podziwia Kopernika; podaje domysły często kroć trafne o ruchach gwiazd stałych, o naturze komet, o niedokładnej kulistości ziemi; snuje teoryą wszechświata i dochodzi do panteizmu. Z szeregu dedukcyi wnioskuje, że wszystkie jestestwa i wszystkie „części świata," (pod tym wyrazem rozumie on ciała proste chemii dzisiejszej), jednem słowem, cała przyroda widzialna posiada duszę i swój pierwiastek żywotny. „A więc i ciało martwe ma duszę! Więc moje rękawy, pantofle, buty, ostrogi, mój pierścień i kształty moich trzewików są ożywione? Moja czamara i płaszcz są też żywe?" Pyta Polymnius. Na to odpowiada Teofil. „Powiadam, że stół nie jest żywym jako stół, ani suknia jako suknia, ani skóra jako skóra, ani szkło jako szkło, lecz jako rzeczy przyrodzone i złożone, zawierają one w sobie materyą i formę. Jakkolwiek lichą i małą byłaby rzecz jakaś, zawiera ona przecież cząstkę substancyi duchowej, która, stosownie do usposobienia przedmiotu, rozszerza się w ten sposób, że się staje rośliną lub zwierzęciem." W końcu oświadcza, że świat cały jest jednem „świętem, szanownem, czcigodnem zwierzęciem" (Est animal sanctum sacrum et venerabile mundus). Przy takiem usposobieniu umysłowem musiała go oczewiście ciężyć suknia dominikana i niewolnicze życie Włoch owoczesnych. Ruszył też do Genewy, żeby zabrać znajomość z Kalwinem i Teodorem Bezą, ale i z nimi wstępuje wkrótce do walki, bojuje ze zwolennikami Arystotelesa, nareszcie zatęskniwszy do ziemi ojczystej, przybywa do Wenecyi i osiada w Padwie. W 74m roku życia, w kraju najsilniejszej reakcyi katolickiej, poważa się głosić publicznie swoje pomysły. Uwięziono go i oddano w ręce inkwizycyi świętej do Rzymu. Gdy trybunał ten nie zdołał przyprowadzić go do upamiętania i odwołania błędów, wydano go znowu władzy świeckiej z zaleceniem, aby „był jak najłagodniej i bez przelewu krwi ukarany." Posłuszni wskazówce sędziowie spalili go na stosie na Campo di Fiore w 1600 r.

Nie mniej tragicznym i nie mniej śmiałym był zawód drugiego wielkiego myśliciela i marzyciela neapolitańskiego, *Tomasza Campanelli.* (1568—1639). W szerokich ramach Filizofii Powszechnej (Philosophia Universalis) kreśli on fizykę czyli naukę o materyi, z której tworzą się przedmioty przy udziale ciepła niebieskiego lub chłodu, mieszczącego się w ziemi; następnie fizyologię, w którejgł osi, że wszystkie jestestwa, nawet rośliny i minerały są żywe i czułe, opisuje wymownie sympatye przyrody, miłostki drzew, przenikanie światła we wszystkie cząstki kuli ziemskiej za pomocą niezliczonych najsubtelniejszych procesów, które sprawiają rozkosz niewysłowioną; nareszcie filozofią społeczną, której najznakomitszym wyrazem jest „Miasto Słoneczne" (Civitas Solis). Tu żąda po prostu zreformowania rodzaju ludzkiego na zasadzie zgodności pomiędzy siłą, miłością i mądrością. Na czele jego rzeczypospolitej ma stać przedstawiciel rozumu z trzema ministrami reprezentującymi miłość, mądrość i potęgę; z tych pierwszy będzie czuwał nad rozradzaniem się i wychowaniem obywateli, drugi nad krzewieniem nauk, trzeci nad porządkiem i żywieniem społeczeństwa. Wszyscy „Słoneczncy" wyrzekają śluby wstrzemięźliwości i ubóstwa, pracują 4 godziny dziennie, resztę czasu poświęcają na zatrudnienia naukowe, używają spólności mienia i kobiet, nie znają rodziny i niewolnictwa. Osoby, odznaczające się zdolnością do nauk i rzemiosł, będą nauczycielami i sędziami, mogą wymierzać karę śmierci, słuchają spowiedzi usznej swoich podwładnych i powtarzają wyznania te swoim zwierzchnikom wraz z wyznaniem win własnych; klasyfikują kobiety i mężczyzn do związków małżeńskich podług zasad posługujących do udoskonalenia rasy ludzkiej i t. d. Przy dobrem wychowaniu Słonecznicy dójdą do takich postępów wiedzy, że będą robili pługi poruszane za pomocą żagli, okręty bez wioseł i masztów, będą latali, będą oglądali w otchłaniach niebieskich najdalsze gwiazdy, będą słyszeli harmonię sfer niebieskich, dójdą do niepraktykowanej dzisiaj długowieczności i potrafią odmładzać się w 70m roku życia.

Zarzucano mu powszechnie mnóstwo sprzeczności, nieład w ideach, przeniewierstwo wszelkim zasadom i religijnym i monarchicznym i republikanckim i hiszpańskim i włoskim. Ale jakże mogło być inaczej przy tak nienormalnem życiu, przy tak strasznych cierpieniach, na jakie skazywało go społeczeństwo owoczesne? Był jeszcze młodym dominikanem, kiedy go władza duchowna uwięziła w Rzymie. Wypuszczony na wolność pod warunkiem, żeby mieszkał w klasztorze rodzinnego swego miasteczka Stilo, uwikłał się w jakiś spisek przeciwko Hiszpanom. Miał podobno głosić, że w 1600 r. nastąpią wielkie rewolucye, szczególnie w królestwie Neapolitańskiem; że właśnie jest to czas najdogodniejszy do obalenia tyranii królów i ministrów hiszpańskich i do urządzenia przy okrzykach „libertà" szczęśliwych rządów republikanckich. Trudno poznać dokładnie szczegóły spisku; widać tylko, że wielu mnichów wzięło w nim udział, że niejaki ojciec Dyonizy był głównym motorem, że zbierano już oddziały wygnańców i myślano o wystąpieniu zbrojnem. Vice-król hr. Lemos nie omieszkał użyć całej surowości praw owoczesnych, wszakże Campanella uległ tylko karze więzienia. Ale w czasie procesu zadano mu 40-godzinną torturę, deską zaostrzoną wycięto mu funt mięsa, a w ciągu 6 miesięcznej kuracyi zniósł jeszcze kilka amputacyi chirurgicznych i stracił 15 funtów krwi z potarganych żył i tętnic. Nie przyznał się ani do herezyi, ani do buntu; dawał sprzeczne odpowiedzi, dla których uznano go za obłąkanego. Potem spędził w ciasnej izdebce więzienia 27 lat! Skoro dostał papieru, wnet pisał z największym pospiechem, ale mu rękopisma odbierano. Nie zrażało go to jednak i przy pierwszej możności znów je odtwarzał. Nareszcie losem jego zajęli się uczeni i monarchowie. Papież Urban VII., pomimo doznanej raz odmowy, zażądał wydania go ś-tej inkwizycyi, ponieważ podlega jej sądowi za wygłaszane proroctwa. Przed imieniem inkwizycyi uchylił się vice-król neapolitański i wydał jeńca papieżowi, który go wypuścił na wolność. Resztę życia spędził Campanella we Francyi, gdzie kardynał Richelieu wyznaczył mu pensyą stałą, a dwór i uczeni składali mu dowody wysokiego poważania.

Tak więc i Neapol miał swe wspomnienia w dziejach umysłowości europejskiej, widział wybuchy myśli podobne do wybuchów Wezuwiusza. Pomimo niechęci Hiszpanów, doszły tu z po za Alp głosy wielkich filozofów: Kartezyusza, Bekona, Lejbnica. Znalazła się więc strawa umy-

*

słowa dla nowego a jeszcze znakomitszego niż Bruno i Campanella myśliciela, znalazły się liche wprawdzie, ale mniej więcej możliwe warunki życia dla *Jana Baptysty Vico*.

Był to syn ubogiego księgarza (urodził się w Neapolu 1677, umarł w 1744 r.) W młodym wieku spędził lat 9 w zamku margrabiego della Rocco, jako guwerner, w zupełnem odosobnieniu od świata. W bibliotece tamecznego klasztoru znalazł Platona, Tacyta, Bekona, Dekarta, nie omieszkał też odczytać ich po razy kilka. Natura obdarzyła go niezmiernie potulnym i uległym charakterem, który go uchronił od burz zawodu nowatorskiego. Dzięki wstawieniu się margrabiego, otrzymał „poranną katedrę retoryki“ przy uniwersytecie z płacą 600 franków rocznie, i na niej spędził 40 lat życia. Do obowiązków swoich zaliczał prawienie długich mów powitalnych i pożegnalnych dla vice-królów hiszpańskich, których zwykle porównywał z Cezarem, Katonem, Alexandrem itp. Tymczasem umarł ostatni Habsburg hiszpański, Karol II., i wybuchła sławna wojna o następstwo tronu hiszpańskiego. Znalazło się w Neapolu stronnictwo austryackie, które sprawiło rozruchy w Neapolu, ale ostatecznie pokonanem zostało. Vico wystąpił przeciwko zwyciężonym z lichym pamfletem. Jednakże w r. 1707 r. losy wojny przybrały inną postać. Do Neapolu wkroczył korpus austryacko-cesarski i hr. Daun osiadł w pałacu vice królewskim. Austryacy nie tknęli dawnych urządzeń i pozostawili nie tylko prawa, ale nawet język hiszpański w urzędach; wszakże Vico witał hrabiego z radością i na rozkaz napisał panegiryk dla tych samych buntowników. Nie zawahał się nawet napisać napuszoną historyą wielce nienawidzionego we Włoszech generała Karaffy, za co otrzymał od jego rodziny ogromną, zdaniem jego, sumę 1.200 franków. Zaledwo czwartą część takiej cyfry dostawał on za najznakomitsze swe dzieła filozoficzne. Gdy na starość nie był w stanie udzielać lekcyi „prywatnych“, a tytuł „historyografa królestwa“, otrzymany w 70 ym roku życia, nie dawał mu dostatecznych funduszów, wpadł w nędzę i wśród rozmaitych utrapień umarł w 1744 roku.

Ferrari dzieli zawód jego filozoficzny na cztery okresy: W pierwszym występuje przeciwko Kartezyuszowi a szuka punktu oparcia pomiędzy Lejbnicem, Pytagorasem, Platonem, Bekonem i prawem rzymskiem; w drugim okresie ogłasza znakomite dzieło „O prawie powszechnem“, gdzie występuje przeciwko Grocyuszowi i sam rozwija mnóstwo pomysłów oryginalnych i świetnych. W trzecim kształtuje swe pomysły Nowej Nauki podług zdobytych długiem rozmyślaniem zasad; nareszcie w czwartym nadaje systematowi swemu formy geometryczne a przez to dochodzi do przesady.

Ponieważ nie jest zadaniem naszem studyować historyą filozofii, a tylko filozofią historyi, przeto ograniczymy się tu do jednego tylko, ale właśnie najcenniejszego ze wszystkich dzieł Vico, do tak nazwanej przez niego „Nowej Nauki“ (La Nuova Scienza). Napisał ją pierwotnie w 2ch tomach, ale żaden księgarz nie chciał się podjąć druku. Musiał więc skrócić i pożyczyć pieniądze na zastaw brylantowego pierścienia, ażeby w 1725 r. mogło się ukazać pierwsze wydanie. Potem jednak pewien przyjaciel jego spróbował odbić drugie wydanie w 1730 r. a Vico pospieszył nadesłać dodatków blisko na 300 arkuszy. I teraz wypadło zmieniać i skracać, wszakże nowa edycya stała się zupełnie nowem i niepodobnem do dawnej dziełem. Nareszcie w roku śmierci autora wyszło jeszcze 3cie wydanie (1744 r.), które nam służy za podstawę. (C. d. n.)

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ

(wiek XVIII.)

przez

DR. JULIANA OCHOROWICZA.

I.

Filozofia kościelna.

(Ciąg dalszy).

Rozdział III. objaśnia „dla czego Pan Bóg nie stworzył tak Adama w Raju jak Ewę?“ lecz dopiero po stworzeniu wprowadził go do rajskiego ogrodu. Oto dla tego, ażeby wiedział, że nie wszędzie jest tak dobrze jak w Raju i ażeby się zawczasu do pracy zaprawiał. Ewa zaś była stworzona w Raju, być może dla tego, „iż Ewa i każda podobna żonka jest tylko wtenczas potrzebna mężowi, gdy mu się tak szczęśliwie powodzi wszystko jak w Raju,“ — ale dla czego Ewa z Adama, nie zaś Adam z Ewy się narodził, coby przecież było naturalniej? To dopiero następny rozdział objaśnia. Stało się to dla tego, ażeby niewiasty wiedziały, że są dziećmi mężów swoich i jako dzieci słuchać ich powinny. „Przewidział snać Pan Bóg skłonność do ambicyi w naturze niewieściej, dla tego ją uniżył zawczasu i młodszą uczynił od Męża.“

„Mam jeszcze — dodaje autor — i inszych racyi wiele, dla czego młodsza jest Niewiasta od Mężczyzny, których mi wyrazić stan Zakonny nie pozwala. Tej jednak nie mogę opuścić ciekawości, dla czego Niewiasty, które są nierównie młodsze od Mężczyzn, pierwsze biorą miejsce godnym i zasłużonym w Ojczyźnie Mężom? Wiem z dawnych historyi, że od początku świata zawsze białogłowy podlejsze osiadały miejsca. W pierwszej po potopie Assyryjskiej Monarchii sławna monarchini Semiramis choć dziedzicznym, nie mogła rządzić Państwem, póki się nie zmyśliła Mężczyzną, osobę i strój wziąwszy syna swego. U Rzymian prawem rozkazano Niewiastom, ażeby w kościele jak służebnice przy Mężach siedzących stały. W Palestynie gdy Familię (rodowód) wyprowadzano, za rzecz niesłuszną mieli, gdyby Niewiasta wspomnianą była. W prawie nawet starozakonnem, samych tylko pierworodnych Synów, nie Córki, Bóg za ofiarę przyjmował; zkądże się to teraz ten zwyczaj wziął na świecie, że tyle wiekami wzgardzona Płeć Białogłowska starszej i godniejszej Osobie Męskiej w posiedzeniu pierwsze bierze miejsce?“

Autor usprawiedliwia dalej nieco tę wzmagającą się przewagę płci słabej historycznemi jej zasługami i cnotami matek naszych, ale zawsze z przekąsem mówi o jej ówczesnej emancypacyi.

Kiedy niewiasty rzymskie podczas niedostatku skarbu publicznego ofiarowały swe klejnoty senatowi, ten w zamian za ich ofiarę, obdarzył je pięciu przywilejami: 1) Ażeby się godziło na pogrzebie zacnej pani wychwalać jej cnoty, przedtem bowiem nietylko mówić o zmarłej, ale nawet iść za trumną mężowi nie było wolno. 2) Pozwolono uczciwym damom siadać w kościele. 3) Pozwolono im dwie suknie nosić, czego nigdy nie czyniły, ponieważ Senat rzymski widząc zbytki Białychgłów w strojach, zakazał im pravem dwu razem zażywać sukni, pod karą zabrania do skarbu; mężowi zaś na to pozwalającemu pod wygnaniem. Teraz się — woła autor — Mąż jak lis ciągnąć musi, ostatni grosz z kieszeni wyciągnąć, ażeby w tych zbytkach dogodzić umysłom żony, jakby nie miał w ręku serca ukochanej żony, póki go w bogaty sak nie ułowił.“ 4) Pozwolono damom w gwałtownych potrzebach pić wino. 5) Nakazano spełniać wszelkie życzenia niewiast bliskich słabości.

Opowiedziawszy to, autor ze smutkiem dodaje:

„Te wszystkie *przywileje* za czasem i do naszej Polski są wniesione: częścią od Forystyjerów Cudzoziemskich, częścią od sąsiadów bliskich wygnanych na Wołoszczyznę z Rzymu.“

A cóżby to był nasz szanowny moralista powiedział na dzisiejsze *przywileje* naszych pań! Dopierożby piorunował i narzekał, ale jeżeli wówczas głos jego, jako głos większości, mógł być słuchany, dzisiaj byłby tylko wołającym na puszczy. Kobieta przestała być dzieckiem i zabawką męża — dziś ona raczej bawi się mężczyzną, albo... pracuje. Jednej się zdaje, że jest wolną — druga jest nią istotnie przez pracę. W XVIII wieku sztandar pracy kobiecej nie mógł być podniesionym — kobiety pracowały wprawdzie, ale nie one wybierały rodzaj tej pracy. Przeważał typ pierwszy kobiety będącej „nagrodą“ walecznych i dowcipnych, ozdobą salonów, zabawką możnych panów, zabawką, co do której ksiądz Pikulski mógł jeszcze postawić sobie pytanie: „czy w samej rzeczy jest człowiekiem?“ Wysoce są charakterystyczne uwagi jego nad tym punktem.

„Jestże Niewiasta Człowiekiem?“ — zapytuje on w drugiej „Ciekawości“ IIIgo Rozdziału i odpowiedź daje taką:

„Jabym sądził, że nie jest: bo Człowiek jest stworzony na obraz boski; Niewiasta zaś jest stworzona na wyobrażenie Człowieka. A jako Adam przez to, że był stworzony na wyobrażenie boskie, nie był Bogiem, tak i Niewiasta Ewa przez to, że była stworzona na wyobrażenie Człowieka nie jest Człowiekiem.“ Po tej tezie następuje antiteza.

„Rzetelniej jednak mówiąc, nietylko Niewiasta jest Człowiekiem, bo ma też samą istotę, co i Mężczyzna, tj. ciało i duszę, ale też co większa jest, niby doskonalszem stworzeniem niżeli Mężczyzna bo Adam był stworzony z prostej gliny, Ewa zaś jest uczyniona z kości serdecznej Adama. On był stworzony na świecie; Ewa zaś właśnie, gdyby co droższego — w Raju.“

„Cóż mają osobliwszego Mężczyźni od Płci Białogłowskiej, żeby ten stan aż nazbyt posponować mieli? Jeżeli świat doświadczył w Mężach panowania rządów: ażaliż Debora u Izraelitów; Semiramis u Assyryjczyków; Helena w Kijowskiem Księstwie, nie rządziły państwami rozumnie? Amazonki Damy sto dwadzieścia blisko lat panowały w Europie w zwycięztwie. Jeżeli z rozumu płeć męzka chwalić się może, albo, ż nie rachował świat Dam tyle uczonych? *Kleobula* najpierwej w Grecyi wymyśliła Gadki, czyli rozumne kwestye. *Izys* córka Inacha pierwszego króla Grecyi, nauczała Europę całą zasiewać role. *Karmentys* córka Ewandra wynalazła litery łacińskie A, B, C, D etc. I gdyby nawet tych czasów był ten zwyczaj, ażeby się uczyły Damy, subtelnością Płci swojej przechodziłyby rozum i nauką wielu Mężczyzn.“ Zatem za

czasów aut ra nie było tego zwyczaju, ażeby się damy uczyły!

Po tezie i antitezie następuje synteza:

„Prawda, że ma niektóre defekta Płeć Białychgłów, które jej szacunku umniejszają, ale i te gdy weźmiemy na uwagę, sami osądzić musimy, że ta niedoskonałość jest dla większego dobra pospolitego Mężczyznom. Mówiemy na nich, że są szczebiotliwe i nie sekretne: to prawda jest; ale co należy do pierwszego punktu: od kogożbyśmy się Mężczyzni nauczyli mówić, gdyby z nami za młodu przez wielomówstwo często nie mówiły Matki nasze? Jeżeli Damy z natury są niesekretne, tych prędkość w mowie jest dla nas przestrogą, że z niemi konwersując, wprawiamy się w ostrożność mowy. Nie masz na świecie tak złej rzeczy, żeby na dobre nie wyszła, bylebyśmy tylko sami chcieli“ (str. 49.)

Dołączę tu jeszcze kilka uwag z innego rozdziału, jako w związku będących. Autor zapytuje zkąd się małżeństwo maryaszem zowie? I objaśnia, że wyrażenie to pochodzi od *mar pogrzebowych*, bo tak ściśle zobopólnie obowiązuje zaślubione osoby, że chyba *mary aż* poprzysiężoną z serca wyniosą miłość do grobu, jako sobie przy ślubie obiecują *aż do śmierci*. Inaczej jednak codziennie dzieje się: byle się co nie według myśli jej stało, nie czeka mar, wyniesie się ona i sama z domu.“

„Teraz już stan Małżeński ledwie się nie inaczej powinien nazwać: *Małżeństwem*, bo arcy *mało żeństwa* takiego, w którem lada mucha co brząknie do ucha, albo na nos wsiędzie, nie rozerwie poprzysiężonej przyjaźni. Wiele się Józefów namnożyło! Grzech jest, a grzesznika nie ma...“ „Zkądże to pochodzi... Jeżeli nie ztąd... że przy ślubie małżeńskim, częstokroć Mąż żonie, nie tak serce do zobopólnej miłości, jak rękę do odebrania Posagu, podaje. I możesz być prawdziwa i szczera Przyjaciela dożywotniego miłość w takim Mężu, który nie uważa w osobie pobożności, cnoty, roztropności, do gospodarstwa potrzebnych talentów i inszych przymiotów doskonałości, ale wszystkie myśli obraca na *Villam et non illam*: Posag i przyszłą sukcesyę “

„O szczęśliwe dawnych wieków czasy! gdy prawem u Lacedemończyków Lykurgus zakazał: ażeby żaden Ojciec, ani za życia swego, ani po śmierci nie dawał posagu córkom swoim; szło zatem: że jak córki nie przedawały się na posagach, ale na doskonałem życiu; tak i Mężowie nie z bogactwami ślub brali, ale z osobą dla samej cnoty ukochaną.“

„Albożtak podła (mało warta) w naturze swojej jest każda choćby też i najdoskonalsza Dama: że gdy ją Rodzice oddają na całe życie Mężowi, potrzeba przy tej darowiznie i w przydatku dodawać mu posag. Jeżeli jest rozumna, (autor jak widzimy mówi o rozumie u kobiet, chociaż, jak powiedział, nie było zwyczaju uczenia ich), pobożna i urodziwa, ma dosyć sama z siebie szacunku. Jeżeli zaś niedołężna, mniej roztropności mająca, więcej złości, złote w posągowych Zygmuntach serce całem życiem ci na gwałt wybijać będzie.

Godzina wiekiem, ze złym człowiekiem,
A wiek godziną, z dobrą drużyną.“ (str. 43.)

Obok tych poważnych refleksyi, nie przestaje jednak autor równie poważnie rozbierać najdziecinniejszych kwestyi. I tak pyta się np. dla czego Ewa nie jest stworzona z ciała Adamowego, ale z kości? przyczem robi uwagę, że ponieważ kobieta z kości pochodzi, nie powinni się mężczyźni jak psy głodne o tę kość dobijać. Dalej następuje rozbiór pytania, dla czego nie z innej kości, ale mianowicie z żebra Ewa stworzoną została? Można by wprawdzie mniemać, rozumuje autor, że przyzwoiciej byłoby z głowy Adamowi kostkę wyjąć i z niej stworzyć niewiastę. Wszakże jest mężczyznie przydana do pomocy, a gdzież większa pomoc, jeżeli nie w głowie? Czyliż może kto bardziej dopomódz w przypadkowych trudnościach jak *głowną radą?* Ale „znać Bóg Wszechmogący miał respekt na Mężczyznę, że mu nie chciał z jego głowy wyjmować kości, ażeby mu znać kto z boku nie przemówił kiedy, że mu krokiewki w głowie nie staje.“

Nie dosyć na tem, autor chce nawet dociec z którego żebra jest stworzona Ewa? Przypuszcza najprzód, że z lewego jako serdecznego, potem, że z prawego „ponieważ się niewiasty zazwyczaj na prawy bok cisną.“ Ale któreż to było żebro? Człowiek dzisiejszy ma ich 24, albo więc Adam musiał mieć 25 albo też zostało mu tylko 23. Lecz „jeżeli Ewa jest uczyniona z żebra Adamowego do liczby naturalnej należącego, do kogóż na Sądzie ostatecznym to żebro należeć będzie. Czyli do Adama, jako jego własność, czyli do Ewy jako początek jej ciała?“ Wprawdzie mógł Pan Bóg dać Adamowi jedno żebro więcej i nawet tego zdania jest Pereryjusz Lb. 4 in Gen. 6, ale mógł też Pan Bóg za zdaniem *Catarinusa* wziąć żebro normalne, a puste miejsce ciałem później zapełnić. Tak też Pismo św. mówi: *et replevit carnem pro ea*. „Nic to nie było trudno Stwórcy“ — dodaje nasz filozof W przeciwnym zaś razie nie byłaby niewiasta cząstką mężczyzny a przecież: *Mulier est portio viri*. Tu natrafiamy na nową trudność. Ponieważ Adam odezwał się po obudzeniu: „Ta jest kość z kości mojej i *ciało z ciała mego*,“ musiała więc być ta kość z kawałkiem mięsa wyjęta. Lecz mięso żywe ma w sobie duszę, jeżeli więc kość Adamowi z ciałem wyjętą została, „to już w nim pierwej żyć musiała, a zatem idzie, że Ewa dwie duszy miała? Adama w żyjącem żebrze i własną? Tegoż jednak zdania żaden być nie może: bo by to był błąd Manichejczyków, uczących, że w jednym człowieku są dwie duszy, zła i dobra. W ten bowiem moment, gdy było żebro z Adama wyjęte, *obumarło*, i przez własną duszę *ożyło*, każda bowiem część ciała oddzielona od całego człowieka i na jeden moment żyć nie może.“ (Autor widocznie nie znał faktów dowodzących, że mięsień wycięty z ciała nie odrazu żyć przestaje.) „To jednak nie jest bez Tajemnicy, że Stwórca chciał, ażeby Ewa pierwej żyła w Mężczyznie, niżeli sama w sobie.“

Co zaś do owej kwestyi zmartwychwstania „to rzecz pewna, że wyjęte żebro z boku Adama nie do niego przy Zmartwychwstaniu należyć będzie, ale do Ewy; przez to bowiem samo, że od Dawcy natury było mu odebrane i Ewie dane, już nie jest jego.“ Autor nie znał jeszcze kłopotliwej kwestyi przemiany materyi, mocą której o każdy atom naszego ciała podobnie kłócić byśmy się musieli, robi wprawdzie uwagę, „że i my nie pozostaniemy ze wszystkiemi częściami ciała, któreśmy przez życie mieli, ale chodzi mu tylko o to, że w takim razie „bylibyśmy bardzo brzydkimi; mieliśmy bowiem tyle zębów w dzieciństwie, z którymi gdybyśmy pozostali, rzecz by była bardziej zbyteczna niżeli potrzebna.“ (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Dokończenie*).

IV.

Symbolika, która się w Rzymie już jawiła, stała się treścią toskańskiego artyzmu. Przenikęła tu wszystko na wskróś, ale już nie o samolubnej świeckiej potędze, jedno o wcale innych rzeczach prawiła. Owa symbolika od samego początku była dziwnie wyraźną i zrozumiałą, a mnogie utwory toskańskiej sztuki wprawią i niewtajemniczonych w błogi stan zamierzony. Złote albo cieniste kopuły, misterne latające kolumny w każdym wzbudzą nieokreślony pokój modlitewny, a obrazy i posągi ostatnich lat piętnastego i pierwszej połowy szesnastego wieku i bez komentarza prawią o miłościwej a cudownej potędze. Ale kto klucz do dzieł owych posiada, ten wiele więcej zrozumie i wiele więcej i rozumem i sercem używać będzie. Kluczem tym jest zazwyczaj prosta znajomość pism i katechizmu, a wyjątkowo tylko obznajomienie z farmasońską i magiczną kabalistyką znaków i liczb. A że znajomość pisma i katechizmu była powszechną u współczesnych, więc dzieła te jasno i wyraźnie do wszystkich przemawiały. Kto tedy chce badać uczucia, które one budziły, musi ciągle pamiętać o naukach chrześciańskich, a wtedy trwanie i znaczenie owej sztuki odkryje oczom badacza tysiąc szczegółów ustroju duszy nieznanych, albo niewyraźnych w starożytności.

Widzieliśmy przy sztuce greckiej, że piękno albo do uczucia albo do rozumu przemawia. Otóż dzieje toskańskiej sztuki uczą nas namacalnie, jak uczucie i rozum w człowieku nierozdzielnie zrośnięte, i jak panowanie wyłączne jednego wywołuje koniecznie reakcyą drugiego. W zgodności obu leży estetyczna i duchowa równowaga człowieka, do której ciągle dąży, przechylając się to na jedną to na drugą stronę. Nie można jednak tu ślepo praw wahadła cielesnego zastosować. Gdy wahadło silnie na prawo zboczy, zboczy koniecznie potem równie silnie na lewo, ale jest dlań niepodobieństwem równocześnie i na prawo i na lewo zboczyć. Przeciwnie ma się z uczuciami pięknemi, skoro najsilniejsze estetyczne wzruszenie jawi się wtedy, gdy uczucie i rozum zarówno zadowolnione, i skoro nie ma nigdy estetycznej radości tam, gdzie jeden z czynników odepchnięty i obrażany; a nawet tam, gdzie jeden tylko czynnik działa, a drugi biernie się zachowuje, nawet tam, powiadam, nie ma mowy o trwałem upodobaniu. Otóż prawo estetycznej równowagi jawi się w tem, że utwory, które uczucie zadowalniają wraz z rozumem, mają wziętość trwałą, a że zboczenia ku jednej albo ku drugiej stronie nigdy długo zadowolnić nie mogą, a łatwo przeciwne zboczenie wywołają.

Pierwszą podstawą wiary uczucie, i sztuka toskańska zrazu do tego uczucia przemawiała. Ale owa uczuciowa wiara ukształtowała się w system dogmatów oderwanych, a często niezrozumiałych, i rozum domagał się koniecznie wobec niej swoich praw. Pragnął całą dogmatykę objąć, i w tym celu musiał znaleść punkt środkowy, z któregoby cała była widną — musiał ją ułożyć w system. System ten nie mógł być jasnym, jak pierwotne owoce działania rozumowego, jak najprostsze choć generalne pojęcia, za któremi gonił idealizm Grecyi, albo jak ład łatwo

przejrzany greckiej rzeczypospolitej i greckiej świątyni. Tylko rozum mógł się przekonać, że w rzeczy samej każda część systematu, jest warunkiem i wynikiem wszystkich innych; ani oko ciała, ani nawet oko wyobraźni nie mogło tego odrazu przejrzeć. Przejrzane raz przez rozum sprawiało poznanie niezwyczajnie wysokie używanie (?) Rozum zmęczył się wprawdzie, ale dopiął celu i przełamał trudności, a nawet uczucie dumy święciło tryumf. Ztąd to wzięła się dziwna właściwość dzieł toskańskiej sztuki. One bywają księgami całemi, w których części teologicznego systematu chrześciańskiego wyłożone. Niejako widomemi czynią niedostępne prawdy, ale przy tem i same wymagają misternego badania. Jest w nich systematyczna konsekwencya, którą się powoli odkrywa, a która raz odkryta sprawia uciechę, jakby po odniesionem zwycięstwie.

Forma, w której rozum ludzki trudniejsze robi odkrycia, zawsze poniekąd podobna do formy rachunku. Uwidomienie tedy rachunku stało się celem drugim sztuki toskańskiej. To dążenie było także jednem z dążeń sztuki greckiej, ale ono stało się wyraźniejszem w Toskanie. Czasem wszystko dla niego poświęcone, a w najszczęśliwszych arcydziełach zrodziło ono silną skłonność do pozorów bardziej oderwanych niż w Helladzie. Greczyn co rozumiał, wyobraźnią chwytał. Florentczyk rozumiał wiele rzeczy nieuchwytnych dla wyobraźni, i przyszedł do tego, że widział w wyobraźni tylko wspomnienie cielesnych zmysłów, i że twierdził, że oko duszy widzi rzeczy, których w myśli nawet nie uzmysławia. Sztuka koniecznie do zmysłów mówiła. Ale gdy grecka sztuka wszystkie ideały czyniła, o ile mogła, namacalnymi, toskańska lubiała postacie swoje przedstawiać gdzieś w dali, wśród wałurków innego świata, i kazała oku ciała patrzyć tak niby, jak to zwykło czynić oko duszy. Ztąd to się wzięły łuki gotyckie i widzenia najdoskonalszych artystów florentyńskich, które już nie sam matematyczny rozum zadawalniały, a które wtedy nawet, gdy błogiego symbolu przed oczy nie prowadziły, napełniały wysoką dumą. Bo człowiek, patrząc na to, cały się uduchawiał. Rozumiał, że wyższa w nim potęga tryumfuje, że zmysły, co były zasłoną dla jego rozumu, zwyciężone, i że widzi tak, jak widzą duchy czyste, dla których najzawilsza abstrakcya widomą. A to nadzwyczaj miła ułuda, nieznana klasycznemu światu, a radująca duszę tak, jak niegdyś groza traiczna. Ją to najlepiej może wywoływał Leonardo.

Inne dążenie rozumu prowadziło do innego potężnego używania. Zmysł badający szczegóły nie był obcym starożytności. Bez niego nigdy by nie mogła sztuka dójść do wiernego naśladowania natury. Ale starożytność badanie owo zawsze podporządkowywała prawom różnojedni. W Toskanie działo się nieraz inaczej i widzieliśmy jak toskański realizm tłumne przedmioty i szczegóły kładł obok siebie, nie postarawszy się o wewnętrzny ich związek. Jednak i tu natura ludzka, która jest jedną w sobie, i która chce być we wszystkich swoich częściach zarówno zadowolnioną, upomniała się o swoje prawa. Toskańczyk ujrzał cudną i niekonsekwentną niby rozmaitość świata zmysłowego, a prócz tego wierzył jeszcze w cudowny świat nadzmysłowy. Obie połowy tego, co było jego wiedzą, musiały się koniecznie zlać w całość, i to wywołało zuchwałe systemata, nie sylogizmami tylko, ale katedrami wyłożone. W gmachach świeckich panteizm dawał się domyślać tajemnej duszy świata, przed którą drżeć trzeba, ale poczucie świadomej osobistości nie znosiło tego tłumaczenia. Ono to nieraz filozofią zmusiło do dziwnego twierdzenia, że przeciwne sobie rzeczy są zarówno prawdziwe. Ono to doprowadziło mistyków do abdykacyi rozumu. Jest w niej wiele pozornej pokory, jest jednak i tajna rozkosz dumy. Rozum, duch czuje, że największy święci tryumf, gdy ogląda niby coś, co nieskończenie jego pojęcie przewyższyło. Wtedy zawrót bierze mistyka, i rad pogrąża się w nieskończoną otchłań sił natury. Rozum doszedł niby do najwyższego szczebla i bez upokorzenia może złamać niepotrzebne już berło, a dusza wpada w ekstazę. Przenikniona przez naturę a opanowana przez bóstwo, raduje się własną nieświadomością. Widzieliśmy stan ten przedstawiony w posągach przez starogreckiego Skopasa, a katedra syeńska wynikła z tego stanu i prowadzi doń nabożnych.

To ekstaza. Ludzkość do niej zawsze była skłonną; nie każdy człowiek do niej zdolny, a najczęściej poczucie osobistości buntuje się przeciw niej. Słaby stopień ekstazy każdemu prawie miły. Na niem oparte całe prawie działanie sztuki, bo każde współczucie ekstazą częściową. Muzyka zlewa człowieka z całym światem tonów; spotkamy się jeszcze ze sztuką, co podobnie człowieka przenika całego światem barw i świateł. Ale zlanie się zupełne z wszechświatem, i zupełne zrzeczenie się osobistości pozostaje na zawsze stanem wyjątkowym, do którego mało kto zdolen.

Inaczej mają się rzeczy z uczuciami modlitewnej tęsknoty i pobożnej błogości. One są dostępne dla wszystkich prawie w pewnych chwilach życia, one są podwaliną, na której stanęło w sercach ludzkich chrześciaństwo, one były duchem ożywczym toskańskiej sztuki. W Pizie już cicho i błogo, we florenckiej katedrze dziwnie modlitewnie, a obydwa uczucia łączą się z piękném klasycznem w arcydziełach Michała Anioła.

Trzeba się tedy przypatrzyć tych uczuć naturze, i dostrzedz, o ile one są wyłącznym wypływem chrześciaństwa, a o ile są powszechnemi.

Uczucia te blisko z sobą spokrewnione. Obydwa mają swój początek w tem, że człowiek nie czuje w sobie dość siły do walki ze światem. W pogańskiej sztuce to radowało, co mnożyło i potężniejszą czyniło naturę człowieka. W sztuce chrześciańskiej ujrzymy teraz obok starożytnego prądu prąd na pozór przeciwny. Człowiek, znużony walką składał broń, podobnie jak w ekstazie, ale nie na to, by o wszystkiem zapomnieć, i by się wprost z naturą zlać, ale na to, by w świadomej pokorze patrzyć na słabość swoją. Czuje nad sobą coś mocniejszego, ale żąda koniecznie, by to mocniejsze było dlań przystępnem. Nie jest przystępnem w zwykłym toku przyrodzonych wydarzeń, bo człowiek jest za nisko, a Bóg, jak się zwie moc owa najwyższa, za wysoko. Ale dusza, która się koniecznie domaga zbliżenia, rada cudowi. Wieść o cudzie bywa wieścią radośną. Wtedy to dusza widzi, że Bóg osobisty zbliża się miłośnie do człowieka, że go podnosi łaską swoją w sfery dlań nieprzystępne, i że go czyni uczestnikiem własnej wszechmocy i własnego szczęścia. Gdy człowiek czuje, że się cud taki ziścił, opanowuje go uczucie błogie, przy którem widok fantastycznej cudowności jest pożądanym, bo jest jedną poręką więcej rzeczywistości pożądanego cudu. Gdy zaś cud dopiero upragniony, gdy wyższy świat zjawiony przed duchem, ducha dotąd nie podniósł do siebie, a tylko niejako wydaje się dostępniejszym; gdy wreszcie w duch nowa wchodzi otucha, i gdy się, błagając, o własnej sile, z najwyższem wytężeniem wznosi do Boga, wtedy powstaje uczucie modlitewne. Widzimy, że i w jednym i w drugim pokora jest prawie tylko pozorną, i jest okupieniem nadzwyczajnego wywyższenia, które się w pierwszym razie bez wszelkiej zasługi osiąga, a które jest w drugim razie obiecaną nagrodą modlitewnego wysiłku.

Duchowe oderwanie, mistyczna ekstaza i błogość pobożna, i modlitewna tęsknota, najsilniejszy w toskańskiej sztuce wyraz swój znalazły. Nie były jednak obcemi i innym narodom. We wszystkich wiarach istnieją modlitwy, wszędzie wiara w wyższe istoty, łaskawe czasem dla ludzi, stanowi istotę samą wiar — ekstaza zwyczajniejszą może w pogaństwie jak w chrześciaństwie, w którem tylko chwilowo w trzynastym wieku silniej zapanowała, a wiara w duchową istotę człowieka, wyższą od cielesnej, we wszystkich ludach i wiekach się spotyka. Sceptycyzm czasem powstaje przeciw uprawnieniu tych wszystkich uczuć. Człowiek w potocznem życiu zwykł wierzyć temu tylko, co pod jego zmysły podpada. W praktycznych tedy epokach wiele umysłów przeczy istnieniu duszy i Boga, jako rzeczy niewidomych, a była chwila, że i toskańska sztuka odwróciła się od przedmiotów nadziemskich. Ale i ona do nich wróciła, i wraca wciąż do nich wiara narodów. Ogół bezpośrednio w sobie, jakby piątym zmysłem ducha, czuje, a uczucie to wzrasta w pewność prawie u tych, którzy nie tyle obserwacyą ile rezonowanie ćwiczą. Słabość i nędza domagają się koniecznie istnienia dostępnego Boga, który jest droższym w miarę tego, jak jest potężniejszym i doskonalszym, a uczucia rozkoszne, rodzone przez błogą wiarę, gorącą modlitwę i pijaną ekstazę, utwierdzają w przekonaniu swojem tych, co raz, wierząc już, tych wrażeń doznali.

Owa natura uczuć ludzkich, o której toskańska sztuka świadczy, podstawą wszelkich religii, a chodzi w nich o to nawet uczuciu, by były niedostępnemi w niektórych zbyt górnych tajemnicach. Jedne nerwowe drgania przekonywają ludzi o istnieniu świata wewnętrznego, wstrząsającego nerwy za pomocą rozmaitych falowań. Inne uczucia, nie mniej żywe, zmuszają do wiary w świat duchowy i nadprzyrodzony, i ona zostanie zawsze jedną z istotnych części składowych natury ludzkiej. Mogą być chwilowe zboczenia. Mogą w Indyach przeczyć rzeczywistości ciała, a gdzie indziej jej tylko wierzyć. Natury ludzkiej nikt nie odmieni — przekonania ekscentryczne nie wsiąkną nigdy w naród i zostaną zawsze wiarą sekt nielicznych, którą masy powtórzą tylko mechanicznie, ale którą nigdy nie przesiąkną na prawdę, wierząc zawsze i codzień w istnienie ducha i ciała. Umiejętność tych rzeczy nie zbada, a potrzeba estetyczna rozstrzygnie zawsze u ludzkości. Najsilniejszą wiara ta, która wewnętrznej potrzebie najbardziej zadość uczyni, a darmo się trudzi ten, który pragnie ją siłą wyrwać. Bo wysokie estetyczne używanie, które właśnie wiara taka daje, jest tego rodzaju, że kto w niem raz naprawdę zasmakował, ten nie zna cierpienia fizycznego, któreby mogło odstraszyć od zaznanych rozkoszy. A najpraktyczniejsze pokolenie musi natrafiać na trudności nieprzełamane, które zatruwają wszelkie zmysło-

we używanie, i które gonią nazad do jednej albo do drugiej formy religii. I w starożytności nie starczyły nawet tak górne estetyczne a namacalne zachwyty, które dawała sztuka ateńska. Choć plastyka grecka nigdy nie weszła w obręb pojęć mistycznych, nie są one wcale obcemi poezyi, a panowały możnie w filozofii i w religii helleńskiej.

TELEFON.

ODCZYT PUBLICZNY

BRUNONA ABAKANOWICZA,

miany dnia 16. grudnia 1877 w głównej sali laboratoryum chemicznego lwowskiej szkoły politechnicznej.

Wielkie wynalazki mają zwykle to do siebie, że są nadzwyczaj prostymi. Telefon Bella, który jest przedmiotem dzisiejszego wykładu, jest jednym z największych wynalazków naszego stulecia i posiada właśnie tę nieocenioną zaletę, że jest nad wyraz prostym przyrządem.

Że wynalazek to olbrzymiej doniosłości, nie trzeba długo dowodzić. Przypatrzmy się tylko jego działaniu. Słowa wymawiane w jednem miejscu przenoszą się z błyskawiczną szybkością w inne o kilkadziesiąt kilometrów odległe, i tam są powtarzane przez małą blaszkę żelazną, z największą dokładnością, z wszelkiemi odcieniami, z tą modulacyą, którą mówiący wlewa we własne słowa, żeby wyrazić jakiekolwiek uczucie lub żeby na pewne miejsca nacisk położyć.

Że telefon Bella jest nad wyraz prostym przyrządem, dość powiedzieć, że obie części, wysyłająca i odbierająca depeszę, składają się z dwóch kawałków magnesu kilkanaście centymetrów długich, dwóch blaszek żelaznych i drutu tworzącego łącznik między obu stacyami. Para telefonów bez drutu kosztuje zaledwie kilka, najwyżej kilkanaście guldenów.

Ta właśnie prostota budowy będzie bez wątpienia przyczyną, że w krótkim bardzo czasie telefon nowy znajdzie jak najszersze rozpowszechnienie.

Żeby sobie wyjaśnić, w jaki sposób głos z szybkością niezmierną elektryczności może się przenieść z jednego miejsca w drugie, musimy trochę bliżej przypatrzeć się istocie głosu, a potem objaśnić, jak elektryczny prąd unosi dźwięki głosowe ze sobą.

Zacznijmy więc naprzód od rzeczy najprostszych. Mam oto tutaj małą bańkę mydlaną, napełnioną mięszaniną dwóch pierwiastków gazowych, tlenu i wodoru. Oba te gazy zapalone, łączą się chemicznie i tworzą wodę. Bańkę tę przybliżam do płomyka gazowego, — gazy łączą się chemicznie i słyszymy trzask, który dobiegł do ucha każdego ze słuchaczy. Pierwszem pytaniem, które sobie postawimy, jest to, w jaki sposób uderzenie wybuchu przeniosło się do naszego ucha i wywołało tam wrażenie wystrzału. Otóż rzecz tę sobie tak tłumaczymy. Przy chemicznem połączeniu tlenu z wodorem wywiązuje się ogromna ilość cieplika, od którego gwałtownie się rozszerza powietrze otaczające miejsce, w którem wybuch nastąpił. Powietrze to uderza o warstwę najbliższą zimniejszego powietrza, które go otacza i popchnąwszy ją naprzód, oziębia się i wraca do swego pierwotnego położenia. Tymczasem warstwa popchnięta przez wybuch pcha sama, z kolei rzeczy, warstwę dalszą powietrza, a ta znowu następną i w ten sposób uderzenie w samym środku przenosi się w około na wszystkie strony.

Jeżeli sobie wyobrazimy, że powietrze składa się z drobnych bardzo niewidzialnych cząsteczek, które zowią drobinami, albo też molekulami, to proces przebiegu głosu będzie wytłumaczony w sposób następujący. Przez wybuch uderzone zostaną cząstki najbliżej leżące. Wyobraźmy sobie jednę z takich cząstek najbliższych, leżących pomiędzy miejscem wybuchu a linią prosto przeprowadzoną ztamtąd do naszego ucha. Cząstka ta uderza o swoję najbliższą sąsiadkę i spełniwszy to zadanie wraca wskutek swej sprężystości do pierwotnego swego położenia. Obie te cząstki zbliżyły się naprzód do siebie a potem oddaliły. Drobina popchnięta oddaje swój ruch sąsiedniej, która porusza się dalej, popycha następną i w ten sposób poruszenie pierwszej cząstki przenosi się od jednej do drugiej i nareszcie po pewnym czasie, który się da ściśle oznaczyć, cząstka najbliżej ucha naszego leżąca posunąwszy się naprzód, uderzy o błonkę bębenkową. Błonka ta organiczna od uderzenia poruszy się i na nerw słuchu zrobi wrażenie, które w naszym wypadku, hukiem nazwiemy.

Jeżeli zamiast jednej cząsteczki powietrza, wyobrazimy sobie około miejsca wybuchu tysiące niezliczone drobnych cząstek, to każda z nich odbędzie ruch przez nas wyżej opisany i głos rozejdzie się na wszystkie strony.

W skutek wybuchu mięszaniny tlenu i wodoru powietrze otaczające bańkę mydlaną było raz tylko jedno pchnięte i jedna tylko fala głosowa przeniosła się do naszego ucha. Słyszeliśmy huk jednorazowy, który trwał jedną tylko chwilkę. Jeżeli zaś ciało jakieś poruszać się będzie szybko, i uderzenia tego ciała o powietrze szybko po sobie następować będą, to słyszeć będziemy głos, który trwa ciągle, przez czas dłuższy, póki ciało dźwięczące ruchy odbywa. Jeżeli szybko poruszam tych kilka kawałków papieru, to do ucha naszego dochodzi szmer przez czas ruszania trwający. Jeżeli zaś trącam ten kamerton, to widełki jego szybko drgać zaczynają, odbywają ruchy tam i napowrót i do ucha naszego dochodzi ton odpowiedni temu kamertonowi. Jakaż jest różnica pomiędzy szmerem wydawanym przez te kawałki papieru a tonem wydawanym przez kamerton? Oto szkło przezemnie poruszane, tak jak ten kamerton, drżeć zaczyna, ale jego drgania nie są regularne, nie następują po sobie w równych odstępach czasu, a tymczasem widełki kamertonu drgają regularnie i dokładnie oznaczyć możemy, ile takich drgań odbywa kamerton na jednę sekundę.

Różnica więc pomiędzy szmerem a tonem jest ta, że tony są wywołane drganiami peryodycznemi, a szmer, trzask, szum i t. p. powstają wskutek drgań, bez żadnego porządku po sobie następujących.

Kamerton w tej chwili dźwięczący działa jak następuje. Widełki jego uderzą o warstwę powietrza, bezpośrednio doń dotykającą i wywołują zgęszczenie, które się udziela następnym warstwom, i które się roznosi koncentrycznie na wszystkie strony. Takie miejsca zgęszczone są właśnie tam, gdzie drobiny najbardziej się do siebie zbliżyły. W tej chwili po uderzeniu widełki się cofają, robiąc przed sobą próżnię i znowu odbywają ruch naprzód. W ten sposób tworzą się około drgających widełek warstwy zgęszczonego pewietrza, które rozchodzą się na wszystkie strony i szybko następują po sobie. Kamerton wysyła jednę falę za drugą takiego zgęszczonego powietrza. Fale te uderzają o błonkę bębenkową naszego ucha, uderzenie następuje po sobie peryodycznie i błonka ucha tyle razy drgać będzie, ile razy drgają widełki. Słyszymy wtedy przy pomocy nerwu słuchowego ton od kamertonu pochodzący.

W ten sposób powstaje także ton od struny drgającej i w ten sposób słyszeć możemy ton, który wydaje skóra na bębnie napięta.

Zmierzając do celu naszego wykładu, do opisania telefonów, musimy teraz na chwilę porzucić teoryę głosu, i przejść w dziedzinę innej gałęzi fizyki, w dziedzinę elektromagnetyzmu.

Mam tutaj przed sobą kawałek żelaza miękkiego, zgięty w kształcie podkowy. Końce tej podkowy obwinięte są spiralnie drutem, którego jeden koniec trzymam w ręku. Drut ten obwija się naprzód około jednego końca podkowy, potem otacza drugi koniec i nareszcie idzie do bateryi galwanicznej, która niedaleko jest ustawioną Przez drut otaczający końce podkowy, żaden prąd elektryczny w tej chwili nie przechodzi, gdyż wolny koniec jego trzymam w mojem ręku i nie łączę jeszcze z bateryą. Żelazo, jak widzimy nie ma jeszcze żadnych własności magnetycznych, gdyż kawałek żelaza doń przyłożony, nie przylepia się wcale. Łączę teraz ten koniec wolny druta z bateryą, przez drut, otaczający podkowę żelazną, prąd elektryczny przebiegać zaczyna, i oto żelazo to staje się magnesem i przyciąga, jak widzimy, sztabkę żelazną, która się doń silnie przyczepia. Otrzymaliśmy w ten sposób *elektromagnes*, którego własności magnetyczne trwają tak długo, jak długo prąd przebiega. Przerywam w tej chwili prąd i sztabka żelazna upada na ziemię. Łączę znowu drut z bateryą, i podkowa znowu stała się magnetyczną. Przerywam – i sztabka upada.

Przy każdem zamknięciu bateryi otrzymujemy elektromagnes, przy każdem przerwaniu żelazo staje się zwykłem żelazem. W ten sposób gdy zamykam i przerywam szybko prądy, otrzymuję szereg szybko po sobie następujących namagnesowywań i odmagnesowywań żelaza.

Otóż, jeszcze w r. 1837, Page, słynny fizyk amerykański, wykazał, że jeżeli takie namagnesowywania i odmagnesowywania prętów żelaznych bardzo szybko, tak naprzykład jak drgania struny dźwięczącej, po sobie następują, to pręt ten żelazny także drgać zaczyna i wydaje ton, którego wysokość odpowiednią jest ilości drgań na sekundę. (C. d. n)

PIERWSZA DEPESZA.

przez

ALFONSA DAUDET'A.

Pewnego razu po lekcyach zabawiliśmy się w żołnierzy, a gdzie żołnierze są, tam i o wojnę nie trudno, a kiedy raz przyjdzie do wojny, to znowu tak prędko ukończyć jej nie można, więc i tym razem kampania przeciągnęła się dłużej, niż wypadało i stało się, żem się tego dnia dobrze z powrotem do domu opóźnił.

Aby choć trochę czasu umniejszyć, biegłem ulicą co tchu, z czapką w zębach, z książkami rzemykiem ściągniętemi. Dostawszy się na schody naszego domu, zatrzymałem się chwilkę, aby oddechu zachwycić i przygotować sobie wymówkę, którąby mnie od burzy uratowała.

Nabrawszy ducha — zadzwoniłem.

— Jak się masz Danielu? — powitał mnie mój ojciec przy wejściu. Przychodzisz bardzo późno, moje dziecko.

Zacząłem się wymawiać jak można najbezczelniej, ale ojciec nie dał mi skończyć, przyciągnął mnie do siebie i uściskał mnie długo w milczeniu.

Rzecz jasna, że mnie, przygotowanego na porządne kazanie, zadziwiło nad wyraz podobne przyjęcie. Pomyślałem sobie naprzód, że zapewne gości mamy na obiad, wiedziałem bowiem z doświadczenia, iż w takich razach pobłażano mi więcej niż kiedy indziej; jednakowoż wszedłszy do jadalnego pokoju, przekonałem się, że mnie przypuszczenia moje dzisiaj zawiodły. Na stole stały tylko trzy nakrycia, dla ojca, dla naszej małej i dla mnie.

— Czy mama nie siądzie z nami do stołu? — zapytałem zdziwiony.

— Mama odjechała, — odpowiedział mi ojciec łagodnym głosem — odjechała do Narbonny, twój brat wikary zachorował bardzo.

Obaczywszy, że pobladłem nagle, dodał prawie wesołym tonem:

— No, nic znowu tak wielkiego... doniesiono nam, że wikary położyć się musiał; wiesz, jak to matka... chciała koniecznie pojechać i pojechała. Ot, bagatelka — nic z tego nie będzie zapewne, — wyleży się i wstanie zdrów. Chodź, siadajmy do stołu, bo mam wilczy apetyt dzisiaj...

Usiadłem na mojem miejscu, nie mówiąc ani słowa, ale na serce spadł mi naraz ogromny ciężar i z trudnością tylko mogłem się od łez powstrzymać.

Jedliśmy obiad smutni, unikając się wzajemnie. Nikt jakoś odezwać się nie śmiał. Mała, zamknięta w swojem wysokiem krzesełku, swobodnie rączki w talerzu maczała, nikt jej tego nie bronił, nikt się nią dzisiaj wyjątkowo nie zajmował. Mój ojciec jadł z pospiechem, pił dużymi haustami, potem odrazu wpadł w zamyślenie i zapatrzył się przed siebie nieruchomy.

Ja znowu, jak odrętwiały z przerażenia, pogrążyłem się cały w wspomnieniach dawnych lat; przypomniały mi się wszystkie wycieczki wspólne z bratem odbywane jeszcze za czasów, kiedy był seminarzystą i przyjeżdżał do nas w odwiedziny. Przypomniało mi się, jak zakasywał sutannę, ile razy mnie przez rów potrzeba było przenieść. A ów dzień pamiętny dla nas wszystkich, ów dzień jego prymicyi, kiedy po wyświęceniu pierwszą mszę odmawiał przy ołtarzu wobec całej zebranej rodziny!... Jaki on piękny był, gdy zwracając się do nas z podniesionemi ramionami, swoim łagodnym, miłym głosem zaspiewał: *Dominus vobiscum!*

Matka z radości zaczęła płakać.

Teraz stał mi przed oczyma chory, opuszczony przez wszystkich, sam w tej szkaradnej Narbonnie, a co jeszcze powiększało moje zmartwienia, to jakiś głos wewnętrzny, który w najgłębszym zakątku mego serca, zdawał mi się krzyczeć głucho:

— Bóg cię skarał!... to twoja wina, powinieneś był wcześniej wrócić do domu i nie kłamać.

Obiad się skończył, zmierzch zapadł, zapalono lampę. Na obrusie, pomiędzy resztkami deseru, mała ustawiała swoje krówki i owieczki z tektury, ucieszona, że ją zapomniano do snu ułożyć. Ojciec siedział obok niej i czytał, — ja otworzyłem okno i oparłem się o balkon.

Był to wieczór sierpniowy i powietrze parne, ciężkie i duszne.

Z ulicy dolatywał szum i turkot daleki, echo przynosiło głuchy odgłos bębnów z pod fortu św. Iwona.

Stałem tak chwil kilka o smutnych rzeczach zamyślony, z okiem w ciemną noc wpatrzonem, gdy nagle ktoś silnie za dzwonek u drzwi pociągnął. Zauważyłem zwróciwszy się z balkonu, że po twarzy mego ojca przemknął jakby dreszcz jakiś, coś z przestrachu i niepokoju.

— Ktoś zadzwonił, — rzekł prawie szeptem.

— Zostań ojcze, zobaczę kto taki, — zawołałem wychodząc z pokoju.

U drzwi stał jakiś człowiek; zauważyłem w ciemności, że mi coś podawał.

— To depesza, — powiedział krótko, dobitnie, służbowym tonem.

— Depesza? — powtórzyłem machinalnie, Jezus Marya!...

Odebrałem ją drżącą ręką i chciałem spiesznie drzwi przymknąć, ale posłaniec nogą je zatrzymał mówiąc:

— Trzeba jeszcze pokwitować.

— Kto tam Danielu? — zawołał wówczas mój ojciec z pokoju.

— Nic, nic... to po prośbie, ubogi, — odpowiedziałem.

Przy świetle lampy na schodach drżącą ręką podpisałem kwit, potem zamknąłem drzwi i powróciłem do pokoju, jak najstaranniej ukrywając depeszę pod bluzą.

Nie chciałem, aby ją ktokolwiek obaczył w mojem ręku, gdyż nie przynosiła nam ona nic takiego, czegoby nam przeczucie nie podszepnęło, a przeczucie mówiło o nieszczęściu.

— To ubogi był? — zapytał ojciec znowu.

Odpowiedziałem bez zarumienienia się:

— Tak, ubogi, — a chcąc odwrócić wszelkie podejrzenie, usiadłem na dawnem miejscu pod oknem. Pozostałem tak czas jakiś nieruchomy, oniemiały, cisnąc tylko w zanadrzu papier, który mi piersi zdawał się żarem palić. Przez chwilę chciałem sobie dodać odwagi, mówiąc:

— Co ty wiesz? Być może, że to dobra jaka wiadomość? może mu się polepszyło!...

Ale w duszy czułem, że to fałszywa pociecha, że to wszystko nieprawda, że okłamuję sam siebie, że ten telegram nic dobrego zwiastować nam nie może.

Wreszcie zdecydowałem się pójść do mego pokoju i odczytać go.

Z udaną obojętnością wyszedłem z jadalni, lecz dopadłszy mojego kąta z gorączkowym pospiechem zapaliłem światło. Jak mi ręka drżała, kiedy rozrywałem kopertę!.. Ile gorących łez wylałem, gdy była już rozerwaną!...

Więcej niż dwadzieścia razy odczytywałem krótką treść depeszy dla przekonania się, że mnie oczy nie zwodzą. Niestety! Mogłem czytać nieszczęsny i czytać, obracać papier na wszystkie strony, a zmienić odczytanych wyrazów nie mogłem, mówiły mi one to, co od kilku godzin w sercu mi szeptało:

— Umarł! Módlcie się za niego!

Nie wiem już, jak długo stałem tak, płacząc, rozpaczając, modląc się przed tą otwartą depeszą, — nie wiem już nic!...

Przypominam sobie tylko, że mi w oczach piekło coś jak rozpalonem żelazem, i że długo zmywałem twarz zimną wodą, zanim do jadalnego pokoju wróciłem, z telegramem w zaciśniętem ręku.

Co teraz dopiero począć było? Jak sobie postąpić z udzieleniem ojcu tej okropnej wiadomości? Czy wolno mi było zatrzymać ją tylko dla siebie? Czy nie lepiej byłbym uczynił oddawszy mu telegram od razu?..

Bylibyśmy go razem otworzyli i rzeczby się wydała!... Zastanawiając się nad tem wszystkiem, przystąpiłem do stołu i usiadłem tuż przy ojcu, blisko, jak najbliżej.

Biedny człowiek, odłożywszy książkę bawił się z małą. Widziałem, jak się przez chwilę jego twarz ożywiła, jak się uśmiechał i miałem ochotę powiedzieć mu:

— Mój ojcze, proszę cię, abyś się nie śmiał.

Kiedy tak zasmucony patrzałem w niego, podniósł do mnie swe oczy, spojrzenia nasze spotkały się. Nie wiem, co w moich wyczytał — wiem tylko, że mu się nagle cała twarz zmieniła, okropny krzyk wydarł się z piersi, i że rozdzierającym serce głosem zawołał:

— On umarł, nieprawdaż?... — Potem szlochając rzucił mi się w ramiona, i tak złączeni z sobą w uścisku płakaliśmy obaj, a mała podczas tego bawiła się telegramem, sprawcą naszego smutku i boleści.

Wszystko to, co tu opowiedziałem — minęło już tak dawno. Tak dawno temu, jak mego ukochanego brata pogrzebano na cmentarzu w Narbonnie, — biednego mego brata!... a przecież czy uwierzycie? do dzisiejszego dnia nie mogę się przezwyciężyć, abym nie zadrżał ilekroć odbieram telegram.

Zdaje mi się jeszcze zawsze, że wyczytam w nim: „On umarł“, i że potrzeba się „modlić za niego“...

MORALIŚCI.

Zabawni ci moraliści!
Wołają, że świat ma skazy;
A ja mówię, bez urazy,
Że to są waryaci czyści.
Jakie skazy! nie ma żadnej,
To od nich wieje zepsucie;
Ja tu ich zaraz napadnę,
Zbiję — zarzut po zarzucie.

Przedewszystkiem, najzawzięciej
Krzyczą: ludzkość serca nie ma;
Że jedyne jej dilema:
Złoto, złoto i nic więcej.
Na to, mam zdanie utarte:
„Przeczucie — to wielka cnota“.
Człowiek wie, ile jest warte
Na świecie zero bez złota.

Mówią, kto posagu szuka,
Dowodem moralnej nędzy.
Ożenić się bez pieniędzy!
Jezus Marya! wielka sztuka!
Dzisiaj dedukcya popłaca,
Co tu wiele gadać o tem,
Żona, dzieci — wynik — praca,
Człowiekowi djabliż po tem.

Taż sama napaść zuchwała
Na dziewczęta; za co? za to,
Że chcą iść za mąż bogato
To dobrze! Dziś, Bogu chwała,
Nie ma naiwnych panienek,
Cieszących się świeżą różą;
Wiedzą, że na sto sukienek,
Trzeba groszy dużo! dużo!

A to, czy nie jad z nich tryska,
Nie złość wyraźna — twierdzenie,
Że dziś ludzie przez płaszczenie
Drapią się na stanowiska?

Walka, to ludzkości znamię!
Bez walki, świat byłby trupi,
„Łam czego rozum nie złamie.“
Jacy moraliści głupi!

Nic jednak tak mnie nie kole,
Jak na księży wszelkie chłosty;
Mówią, że ksiądz każe posty,
A drży o swe jura stolae.
Moraliści moi drodzy,
Pismo święte czytać trzeba:
„Błogosławieni ubodzy.“
Księża chcą nas pchać do nieba.

Albo wrzask, że dygnitarze
Zmuszają nas stać u proga?
Słusznie; toż na miłość Boga,
To równowaga tak każe.
Stalić oni podedrzwiami,
I czynili fronty liczne;
Dziś żądają tego sami,
A toż to jak wół logiczne.

Płaczą także na podatki...
Jeszcze dajemy za mało!
Oj! zdałoby się też zdało
Zamknąć tych panów do klatki!
Wołają, że lud bez chleba,
A to zuchwalstwo dopiero!
. . . . . .wam tuczyć potrzeba!
Lud mości panie, to zero.

Słyszę oraz wielkie krzyki,
Że ci, którzy są u góry,
Tych co niżej, drą ze skóry.
Moralistom brak logiki!
Gdzież słaby dusi mocnego?
Mój ty wielki, dobry Boże!
Jeszcze nie słyszałem tego.
Toż gnębi ten, który może.

Wreszcie, mroczy ten lud hardy,
Że dziś armii milion zbrojny
Dławi nas, nawet bez wojny;
Że to kosztuje miliardy,
Że tak czynił, chyba B a t y...
A niechże ich porwie licho!
Toż rząd na to ma armaty,
Byśmy przecie s p a l i c i c h o.

Więc cicho, dość perturbacyj,
Bo usłyszą rojaliści;
Strach! A zatem, moraliści,
Ile że nie macie racyi,
Radzę wam milczeć i basta;
Najlepiej, idźcie spać sobie.
A no i ja, że dwunasta,
Lojalnie toż samo zrobię.

M. Rodoć.

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

III.

(Dokończenie).

Nareszcie stosunki się zmieniły, rząd moskiewski omdlał nieco z wysilenia barbarzyństwa i głupoty. Prawa są te same, lecz tylko dla tego zwolniały, że brakło animuszu srogości w ich wypełnianiu.

Ludzie cisi, wytrwali, pracowici, a dobrej woli, których nie brak w Warszawie, zaczęli myśleć nad podźwignięciem narodu z tego zalęknięcia społecznego, które przeszło w pewnego rodzaju idyotyczną apatyą. Zaczęto myśleć seryo o zabraniu się do roboty, lecz cóż, gdy im brakło prasy, któraby umiała podnieść rozliczne sprawy narodowe, a na drodze w poprzek stanęły— ofiara, poświęcenie i patryotyzm...

Dzielny i patryotyczny Lwowie, czuję, że gdybyś miał bruk na swych ulicach, wyrywałbyś z niego kamienie, aby mnie ukamienować. Szczęściem nie masz patryotycznych kamieni, zaledwo patryotyczną szosę i takież błoto. Jestem więc uratowany, a ponieważ jestem z daleka, nie boję się być zakrzyczanym i, korzystając z tej dogodności, mówię — czyli piszę dalej. Dużo należy przebaczyć Warszawie i Królestwu, albowiem niedola nasza jest wielką, obuch moskiewski ciężki. Jest on wypadkiem powstałym z pomnożonej głupoty przez dzikość i chytrość azyatycką, często naszpikowaną w barbarzyński sposób teoryami cywilizacyi.

Warszawka, stawiając opór najazdowi, wszystko robi jako odpór, a więc jako ofiary poświęcenia i patryotyzm. A że jest próżną i błyskotliwo-fajerwerkową, skłonną jest do manifestacyi wszelkiego rodzaju i gatunku, a mało rozumie się na spełnianiu obowiązków obywatelskich bez *poświęcenia i ofiary*, lecz opartych na *wytrwałej* pracy bez deklamacyi i *efektów*.

Na każde zawołanie w imię obowiązku odpowiadają chórem:

— Chcecie, wołacie, wzywacie nas do poświęceń i ofiar — jesteśmy gotowi...

— Nie, nie! — odpowiadają przestraszeni inicyatorzy – my was tylko wołamy w imię obowiązków obywatelskich...

— A my na złość chcemy się poświęcić — odpowiadają. I niestety poświęcają się...

Poświęcenie ani może być ogólnem, ani trwać długo nie jest w stanie. Toż samo odnosi się do ofiar. Zresztą nikt nikogo nie może zmuszać do poświęceń i ofiar, a każdy ma prawo wezwać do spełnienia obowiązku obywatelskiego.

Dla tego też wszystkie u nas roboty społeczne zaczynają się gorączkowo, hałaśliwie. Prasa wzywa *tylko* w imię poświęcenia i patryotyzmu. Poświęcając się też z miłości do ojczyzny, w pierwszych chwilach wszystko idzie szumnie. Prasa basuje i pali kadzidła, Warszawka wierzy, że jest ideałem poświęcenia i patryotyzmu, i po postawieniu jednego kroku i daniu kilku rubli, zasypia.

— Czegóż chcesz — odpowiada przeciętny Warszawiak, jednemu z cichych pracowników.— Czegoż chcesz więcej? Czym się już raz w tym interesie nie poświęcił?!

Na tego rodzaju odezwanie się nie ma odpowiedzi. Człowiek pracy cicho wzdycha, myśląc sobie w duchu:

— Kiedyż się skończą poświęcenia i ofiary, a rozpocznie praca seryo.

Gdyby to powiedział głośno, ukamienowaliby go, gdyż w Warszawie są rozmaite bruki, zacząwszy od prostego ordynarnego, jest kostkowy, dalej żelazny, wreszcie asfalt. Z czego przeciętny Warszawiak ma prawo być dumnym i jest nim!

Teraz dopiero rozumiecie, dla czego choć tak szumnie i hałaśliwie zaczęta praca około utworzenia *osad rolnych*, dziś z 2.280 członków towarzystwa tego, na ogólne zebranie przybyło 30!*) a nie płaci dobrowolnie przyjętych wkładek 1.395 członków.

Dla czego, bo poświęcenie i ofiary minęły, a został się tylko obowiązek. Wprawdzie nie zbyt ciężki, ale obowiązek!...

Zdaje się dłuższych wywodów i komentarzy nie potrzeba!

Pochlebiać opinii i psuć Warszawkę należy do pierwszych obowiązków patryotycznych prasy naszej, gdyż po za wszystkiemi górnolotnemi wykrzyknikami, spoczywa, powiedzmy prawdę — interes, czemu się zupełnie nie dziwimy, ani też nikomu za złe nie mamy, byleby tylko mając na celu interes, nie sprzeniewierzać się swoim zasadom.

Przeważnie pisma nasze są w rękach ludzi, którzy dobry interes stawią na czele, i pod niego podporządkowują wszystkie inne. Dobry interes nakazuje starać się o jak największą liczbę prenumeratów, a zatem schlebiać pojęciom, wymaganiom i smakowi. A że w Warszawie nie ma obficie ludzi utrwalonych zasad społecznych i politycznych, jako materyału do przyszłych stronnictw, bo się ogół ludzi w tym kierunku pod obuchem moskiewskim wyrobić nie mógł, zatem i prasa koziołkuje, stosując się do podmuchów chwilowego gustu i usposobień. Często się też zdarza czytać w jednym numerze na jednej stronie naprzykład korespondencyę z zagranicy, prawdziwie radykalną, a na drugiej korespondencyą z kraju zakroju czysto reakcyjnego. A to dla tego, że Warszawka przepada za Gambettą[1] rewolucyą francuską, a sama jest w gruncie arystokratyczną, chociaż radaby udawać wolnomyślną.

Najracyonalniejszem i najpoważniejszem pismem w Warszawie jest „Gazeta Warszawska.“ I gdyby tylko miała więcej inicyatywy w rzeczach krajowych i sprawy swojskie traktowała tak, jak zagraniczne, byłaby dotąd pierwszem pismem polskiem. Ach zapomniałem, i gdyby feiletonów swych nie zapełniała tłumaczeniami. Do dziś ona jedna trzyma się wytrwale i szlachetnie zasad postępowych, w ocenianiu wypadków zagranicznych zawsze, w stosunkach krajowych— o ile tylko może. Inne frymarczą, zasłaniają się pracą organiczną, przemysłem, handlem—słowem bredzą, jak naprzykład „Wiek.“ „Echo“ zdradza dużo sprytu i zręczności, lecz nie zawsze zasad. W każdym razie nie można mu odmówić uczciwości społecznej i politycznej, a feiletony ma najlepsze.

Dosyć o pismach politycznych. Pomimo, że są codzienne, nie odgrywają wielkiej u nas roli poprostu dlatego, że nie egzystuje polityka, a niestety, spraw społecznych nie traktujemy dotąd wyczerpująco. Pisma beletrystyczne nierównie więcej mają znaczenia, poważania i wpływu, i dla tego do nich wracamy.

Dwa obozy, dwa koła, dwie koterye stanęły naprzeciwko sobie. W jednej z koteryi główne role odgrywają Lewestam i jego uczeń Lubowski, który w krótkim czasie stał się potęgą. W „Kłosach“ pisze Pokłosie w „Bluszczu“ recenzye teatralne, w Tygodniku komedye, w Bibliotece traktaty estetyczne, w „Niwie“ naukowe.

Koterye literackie pism beletrystycznych szczelnie zamknięte, nie rade dopuszczają do siebie młodszych braci. Trzeba mieć protekcyę, jak wszędzie i zawsze w Warszawie, aby się tam do nich dostać. Tylko w kółku koteryi jest się wielkim. Pisarz należący do jednego koła koteryi, w pojęciach pisarzy drugiego koła jest osioł, nieuk, niedołęga i vice-versa. Koterya trzymając się ściśle, między siebie rozbiera szpalty pism, niedopuszczając do nich obcych, oni tylko piszą i przypadającą kwotę honoraryum za numer pisma oni rozbierają.

Wyjątkami są: J. I. Kraszewski, K. Kaszewski, A. Asnyk, Lewestam i Lubowski.

Dla tego spotykamy się zawsze z jednemi

*) Niewiernych odsyłam do wszystkich dziennik (w warszawskich z dnia 28. i 29. października.

i temi samemi nazwiskami piszącemi zawsze na jeden i ten sam sposób, poruszające jedne i te same sprawy, jednemi i temi samemi frazesami. I dla tego pisma te wydają się czcze, bo, bo są nudne. Przy tem obawa o utratę popularności i prenumeratorów, nie pozwala na żadne hazardowne wystąpienia, na żadne śmielsze i oryginalniejsze myśli na żadne ostre a racyonalne powiedzenie prawdy.

Weźmy z kilku lat „Kłosy" i porównajmy je z dzisiejszym numerem. Co za chińskie podobieństwo! Przeczytajmy parę numerów z przed pięciu lat, i spojrzyjmy na numer dzisiejszy, co za chińskie podobieństwo! Te same krytyki teatralne, przez tych samych, te same koncerta przez tych samych opisywane, i jedno i to samo nieśmiertelne *pokłosie* streszczające pobieżnie wiadomości Kuryerkowe. I to ma się nazywać prasą, przodownictwem opinii, rozświecaniem dróg, wyrabianiem kwestyi społecznych, przygotowywaniem ich do asymilacyi przez naród, to ma się nazywać krzewicielem postępu, pracy, przodowiczką cywilizacyi i odgadywaniem szlachetnych instynktów narodu, nawet w granicach cenzury moskiewskiej. Osądźcie, wy, co zdaleka jesteście, i dla tego zimno na nasze sprawy patrzycie — osądźcie!

Nuda zabija wszystko. Pod brzemieniem ogólnej wzajemnej adoracyi, a małych osobistych zawiści, pod brzemieniem hymnów pochwalnych sobie i Warszawie, nuda nas zabija, bo nie ma walki życia, starcia pojęć, ciekawości, zainteresowania się ogólnego rodzącemi się kwestyami, bo je podnoszą w rękawiczkach, patrzą na nie załzawionem okiem i pełni westchnień adoracyjnych składają je osłoniwszy białą szatą niewinności do grobu, do grobu zapomnienia. I dla tego dowcipu, odwagi cywilnej i energii nie szukaj już u nas. I dla tego Warszawka szuka rozmaitych środków zabawy i rozrywki.

A jednak, powiedzmy prawdę, redaktor „Kłosów" jest to najszlachetniejszy, prawdziwie idealnej zacności człowiek, Adam Pług (Pietkiewicz), cichy, łagodny i pracowity, a nawet wysoko wykształcony. Niestety pług jest pługiem Lewentala, którym wyoruje złoto, bo mając tak zacną i szlachetną firmę, dobre robi interesa.

Porównywając „Kłosy" z „Tygodnikiem ilustrowanym," trzeba prawdę powiedzieć, że ten ostatni zawsze zwycięzko wyjdzie. Jenike, człowiek spokojny, zimny, rozumny, jest absolutnym panem „Tygodnika" i prowadzi go z wzorowym spokojem i artystyczną znajomością rzeczy. Wszystko w nim, jeżeli nie jest wyborne, jest przyzwoite, a dobór artykułów nie równie lepszy jak w „Kłosach." „Kłosy" zrobiły swoje, to jest dały majątek wydawcy, obecnie żyją reklamą, dawnej z czasów teroryzmu moskiewskiego sławy.

Teraz nastręcza się pytanie, czy w takich stosunkach mogą się wyrobić młode talenta? Odpowiedź wypada prosta i jasna. Ponieważ ich nie ma, zatem się nie wyrabiają. Jednych zabija reklama — duszą je zbyteczną adoracyą, drugich przygniata uścisk niechęci, zazdrości i zawiści.

Już to Warszawka oprócz Osińskich, Dmochowskich i Wojcickich, innych wielkich talentów nie wydała, a jeżeli się znalazły mniejsze, srogo ich gnębiła. Przypomnijmy sobie tylko życiorys Brodzińskiego, walkę klasyków warszawskich z romantykami litewskimi z czasów młodości Mickiewicza, los autora Maryi Malczewskiego, a nareszcie czasy, w których ja już zaczynałem próbować sił, lata między 1840 a 1848, jak się rzucano i co u pani Chlebowskiej mówiono o Kraszewskim. Pamiętam, Fr. Dmochowski zaklinał gospodynię (p. Chlebowską), aby wytłumaczyła Kraszewskiemu, żeby się nie bawił w literata, jeżeli chce uratować i zachować czystem swe imię. Niech się nauczy naprzód pisać ect. ect.

A jak u tejże samej pani Chlebowskiej pan Salezy czytał rękopism powieści Kraszewskiego *Świat i poeta*, jak przekręcał wyrażenia, jak omijał punktacye, słowem jak błaznował i ośmieszał poetyczną pracę wskrzesiciela naszej literatury. I jak — dodajmy — towarzystwo przyklaskiwało mu, a biedna pani Chlebowska rumieniła się za nieudolność i zuchwalstwo swego kuzynka.

Nareszcie jeżeli to wszystko, co napisałem, nie jest prawdą, wzywam szanowne pisma jak „Kłosy," „Bluszcz," „Tygodnik Ilustrowany," „Bibliotekę warszawską," niech powiedzą, które z nich odegrało rolę właściciela i redaktora *Revue des deux mondes* i wyrobiło choć jeden talent, czyli odszukało go, podało mu rękę i wydobyło na wierzch, chociażby z tą klauzulą, aby pierwszą swą pracę dał darmo.

Szukajcie a nie znajdziecie, a to smutne i bolesne. Nie zostawicie po sobie żadnej wielkiej pamiątki, bo nie zostawicie żadnego, wyprowadzonego przez was na światło talentu!

Nie idzie zatem, aby Warszawa, jak każda piędź ziemi polskiej, nie miała wydawać talentów. Wydaje i ona, lecz te innemi drogami iść muszą, i chodzą też, poznamy się więc i z nimi.

Warszawa d. 26. listopada 1877 r.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

W którym toczą się rozprawy, dla dojścia do prawdy, będącej może niedaleko.

Pierwsze godziny żeglugi użyte były na zastanowienie się nad wynikami nocnego i niespodziewanego faktu, który się teraz ujawnił. Jeżeli nie mogła być wyprowadzoną z niego cała prawda, to przynajmniej hrabia, kapitan i porucznik Prokop wedrą się głębiej w tajemnicę dziwnego swego położenia.

Bo w samej rzeczy, o czem wiedzieli teraz stanowczo? O tem, iż *Dobryna* wypłynąwszy z wyspy Gurbi, to jest z pod pierwszego stopnia długości, zatrzymaną została pod trzynastym stopniem. Stanowiło to razem przestrzeń piętnastu stopni. Dodając do tego długość ciaśniny, która pozwoliła im przeprawić się przez ląd nieznany, razem około półczwarta stopnia; z dodaniem przestrzeni oddzielającej drugą konczynę tej ciaśniny od Gibraltaru, prawie cztery stopnie, — dalej wreszcie przestrzeni oddzielającej Gibraltar od wyspy Gurbi, siedm stopni, czyniło to razem dwadzieścia dziewięć stopni.

Więc wypłynąwszy z wyspy Gurbi i powróciwszy do punktu wyjścia, posuwają się po jednej i tej samej linii równoległej, czyli innemi słowami, zakreśliwszy całe koło. Dobryna opłynęła mniej więcej dwadzieścia dziewięć stopni.

Otóż, licząc ośmdziesiąt kilometrów na stopień, czyniło to razem dwa tysiące trzysta dwadzieścia kilometrów.

Jeżeli na miejscu Korfu i wysp Jońskich żeglarze *Dobryny* znaleźli Gibraltar, znaczyło to, że reszta kuli ziemskiej, obejmująca trzysta trzydzieści jeden stopień, zupełnie brakowało. Przed katastrofą, udając się do Malty i Gibraltaru w kierunku wschodnim, trzeba było przepływać długą wschodnią połowę morza Śródziemnego, kanał Suezki, morze Czerwone, Ocean Indyjski, Spokojny i Atlantycki. Zamiast tej ogromnej drogi, nowa ciaśnina, długa na sześćdziesiąt kilometrów, doprowadzała do Gibraltaru.

Tak obrachował porucznik Prokop i uwzględniając wszelkie możebne błędy, było to dostatecznie prawdopodobnem dla utworzenia podstawy do ogółu wywodów.

— A zatem, — rzekł kapitan Servadac, z tego że *Dobryna* powróciła do punktu, z którego wypłynęła, nie zmieniając kierunku, wypadałoby wnioskować, że sferoid ziemski nie miałby więcej na dwa tysiące trzysta dwadzieścia kilometrów obwodu!

— Tak jest, — odrzekł porucznik Prokop, co zmniejszyłoby jego średnicę do siedmiuset czterdziestu kilometrów, to jest byłaby ona szesnaście razy mniejszą, aniżeli przed katastrofą, ponieważ liczyła wówczas dwanaście tysięcy siedmset dziewięćdziesiąt dwa kilometry. Nie ulega wątpliwości, że objechaliśmy dokoła to co pozostało z kuli ziemskiej.

— To wytłumaczyłoby nam wiele szczególnych fenomenów, które obserwowaliśmy dotąd, — rzekł hrabia. Otóż na sferoidzie takich rozmiarów ciężkość musi być bardzo zmniejszoną i pojmuję nawet, że jego ruch rotacyjny na osi został przyspieszony w ten sposób, że przestrzeń czasu między dwoma wschodami słońca obejmuje wszystkiego dwanaście godzin. Co do nowej orbity, jaką opisuje dokoła słońca...

Tu hrabia zatrzymał się, nie wiedząc jak związać ten fenomen ze swoim nowym systemem.

— No i cóż, panie hrabio? — zapytał kapitan Servadac, co do tej nowej orbity?...

— Jakie jest twoje zdanie o tem, Prokopie? — odrzekł na to hrabia, zwracając się do porucznika.

— Ojcze, — odrzekł Prokop — znam tylko jeden sposób wytłumaczenia zmiany orbity!

— A ten jest?... zapytał kapitan Servadac ze szczególnym ożywieniem, jak gdyby przeczuwał, co odpowie porucznikowi.

— Tem jest przypuszczenie, — odrzekł Prokop, — że część ziemi oddzieliła się, zabierając z sobą część atmosfery i przebiega świat słoneczny po orbicie, która nie jest orbitą ziemi.

Po tem wyjaśnieniu hrabia, kapitan Servadac i porucznik Prokop przez kilka chwil pozostawali w milczeniu. Głęboko przerażeni, zastanawiali się teraz nad nie dającemi się obliczyć rezultatami tego nowego stanu rzeczy. Jeżeli naprawdę ogromny kawał oderwał się od kuli ziemskiej, to dokąd on dążył? Jaką jest jego teraźniejsza linia eliptyczna? Na jakąż odległość od słońca zapędzi się? Jak długim będzie obrot jego dokoła przyciągającego punktu! Czy będzie pędził, tak jak komety, przez setki milionów lat w przestrzeni, lub czy też wkrótce przyciągnięty

zostanie do źródła wszelkiego ciepła i światła? Nakoniec czy poziom jego orbity zgadzać się będzie z poziomem ekliptyki i czy można mieć jaką nadzieję, że spotkanie się połączy go znowu kiedyś z kulą ziemską, od której oddzielił się tak gwałtownie?

Kapitan Servadac pierwszy przerwał milczenie, — wykrzyknąwszy jakby mimowolnie:

— Eh! do licha! Wywód pana, poruczniku, wyjaśnia wiele rzeczy, ale nie jest dopuszczalnym.

— Dlaczego, kapitanie? — odrzekł porucznik. Mnie, owszem, zdaje się, iż odpowiada on na wszystkie zarzuty.

— Nie! a przynajmniej jest jeden, którego hipoteza pana nie obaliła.

— Jakiż to? — zapytał Prokop.

— Tylko zrozumiejmy się dobrze, — zaczął kapitan Servadac. — Pan utrzymujesz, że kawał kuli ziemskiej, stawszy się nową asteroidą, unoszącą nas, i obejmującą część kotliny morza Śródziemnego od Gibraltaru do Malty, przebiega wśród światów słonecznych?

— Tak twierdzę.

— Otóż, w takim razie, poruczniku, jakim sposobem wytłumaczysz pan to podniesienie się owego szczególnego lądu, który teraz obejmuje morze i specyalny układ tych wybrzeży? Gdybyśmy byli uniesieni na kawałku kuli ziemskiej, to kawałek ten niezawodnie zachowałby swój układ granitowy, lub wapienny i na powierzchni swej nie przedstawiał tej mięszaniny mineralnej, której składu poznać nie możemy.

Zarzut ten, zrobiony przez kapitana Servadac teoryi porucznika, był natury poważnej. Bo zresztą można było przypuszczać, że kawał oddzielił się od kuli ziemskiej, unosząc z sobą część atmosfery i część wód Śródziemnego morza, można było nawet przypuszczać, że ruchy jego w przestrzeni i na osi nie były identyczne z ruchami ziemi; ale dlaczego w miejscu urodzajnych wybrzeży, odgraniczających morze Śródziemne od południa, wschodu i zachodu, wznosi się teraz ta stroma ściana, bez śladów roślinności i której sama natura jest nieznaną?

Trudno było porucznikowi Prokopowi odpowiedzieć na tę uwagę i musiał ograniczyć się na tem, że zapewne przyszłość ukrywa wiele rozwiązań, niedostępnych w tej chwili. Co do przyczyny pierwotnej, to ta ciągle jeszcze ukrywała się przed nim. Czy można było przypuszczać, że naprężenie sił wewnętrznych oderwało taki kawał kuli ziemskiej i rzuciło go w przestrzeń? było to bardzo wątpliwem. W tem zadaniu tak skomplikowanem, ileż to jeszcze było rzeczy nieznanych do wykrycia!

— Z tem wszystkiem, — rzekł kapitan Servadac na zakończenie, nie wiele mię obchodzi, że grawituję na nowem ciele niebieskiem, byle tylko Francya grawitowała wraz z nami!

A jednak, jeżeli w samej rzeczy tylko kawałek kuli ziemskiej poruszał się po nowej orbicie i jeżeli ten kawałek miał formę sferoidalną — co przypuszczało bardzo szczupłe jego rozmiary, — czyż nie należało się obawiać, że część Francyi nie pozostała na dawnej ziemi? tak samo jak i Anglii. A zresztą ów brak stosunków od sześciu tygodni między Gibraltarem a Zjednoczonem królestwem zdawał się wskazywać, że komunikacya była niemożebną, ani lądem ani morzem, ani pocztą ani telegrafem. W samej rzeczy, jeżeli wyspa Gurbi, jak należało przypuszczać, — zważywszy na ciągłą równość dnia i nocy, — zajmowała rówik asteroidy, to dwa bieguny, północny i południowy, musiały się znajdować w równej od wyspy odległości, równającej się połowie obwodu jaki przepłynęła *Dobryna* podczas swej podróży, tojest około tysiąca stu kilometrów. Tym sposobem biegun arktyczny odległ był od Gurbi na pięćset ośmdziesiąt kilometrów na północy, a biegun antarktyczny na tyleż kilometrów na południu. Owoż, gdy te punkta zanotowane zostały na mapie, to wypadło, że biegun północny nie przekraczał wybrzeża Prowancyi, a południowy znajdował się w pustyni afrykańskiej, na wysokości dwudziestej drugiej paraleli.

A teraz, czy porucznik Prokop miał słuszność, upierając się przy tym nowym systemie? Czy naprawdę kawał został oderwany od kuli ziemskiej? Trudno było to zdecydować. Rozwiązanie tego zadania należało do przyszłości; ale może nie będzie zbyt zuchwałem twierdzenie, że jeżeli porucznik Prokop nie odkrył całej prawdy, to przynajmniej zrobił krok ku niej.

Dobryna znowu znalazła się w warunkach pomyślnej pogody, po za wązką ciaśniną, łączącą dwie kończyny Śródziemnego morza w okolicy Gibraltaru. Wiatr sprzyjał, a przy podwójnem działaniu jego i pary, szybko pożeglowała ku północy.

Mówimy północy, a nie wschodu, ponieważ brzeg hiszpański znikł całkiem, przynajmniej w części między Gibraltarem a Alicante. Ani Almeria, ani przylądek Gata, ani przylądek Palos, ani Kartagena nie zajmowały już miejsca wskazanego im przez geografię. Morze pokryło całą tę część półwyspu hiszpańskiego i galiota musiała posunąć się aż na wysokość Sewilli aby znaleźć znowu, nie brzeg Andaluzyi, ale skałę, podobną do tej, jaką już widziała po za Maltą.

Poczynając od tego punktu, morze zagłębiało się daleko w nowy kontynent, tworząc kąt ostry, którego szczyt powinien był zajmować Madryt Potem brzeg, wydłużając się ku południowi, wsuwał się znowu w dawniejszą zatokę i zaginał jak szpon, zagrażający wyspom Balearskim.

Uchyliwszy się nieco od swej drogi, aby odszukać ślady tej ważnej grupy wysp, badacze nasi zupełnie niespodziewanie zrobili odkrycie, lub raczej coś znalezli.

Było to 21 lutego. Wybiła godzina ósma rano, gdy jeden z majtków, stojący na straży na przedzie galioty, krzyknął:

— Butelka w morzu!

Butelka ta mogła zawierać cenny dokument, być może dotyczący nowego stanu rzeczy.

Na krzyk majtka, hrabia, kapitan Servadac, porucznik, wszyscy pobiegli na przód statku. Galiota manewrowała tak, by się przybliżyć do sygnalizowanego przedmiotu, który też wkrótce wyłowiono i wciągnięto na pokład.

Nie była to butelka, ale skórzany futerał, w rodzaju tych, jakie się używają do przechowywania okularów średniej wielkości. Przykrywa była starannie dopasowana i zalepiona woskiem i jeżeli futerał ten niedawno wrzucono w morze, to woda nie mogła jeszcze dostać się do wnętrza.

Porucznik Prokop, w obecności hrabiego i oficera głównego sztabu, zbadał starannie futerał. Nie było na nim żadnej cechy fabrycznej. Wosk, sklejający przykrywę, był nienaruszony i zachował odcisk pieczęci, na której znajdowały się dwie litery:

P. R.

Pieczęć została złamana, futerał otwarty i porucznik wydobył z niego papier, który woda morska uszanowała. Była to prosta kartka czworograniasta, wyrwana z pugilaresu i zawierająca te wyrazy, ze znakami zapytania i wykrzyknikami — wszystko pismem wyraźnem, tak zwanym rondem.

„Gallia???

Ab sole 15 lut., odległ.: 59,000 000 m.!

Droga przebyta od stycznia do lutego: 32,000.000 m.

Va bene! All right! Doskonale!!!"

— Co to znaczy? — zapytał hrabia, oglądając papier na wszystkie strony.

— Nic nie pojmuję, — odrzekł kapitan Servadac; ale to pewna, że autor tego dokumentu, ktokolwiek on jest, żył jeszcze 15 lutego, ponieważ dokument wymienia tę datę.

— To widoczna, — odrzekł hrabia.

Dokument ten nie był podpisany. Nic nie wskazało z jakiego miejsca pochodzi. Znajdowały się w nim wyrazy łacińskie, włoskie, angielskie, francuskie — te ostatnie w większej od innych liczbie.

— To nie może być mistyfikacya, — rzekł kapitan Servadac. Dokument ten widocznie nadmienia o nowym porządku kosmograficznym, którego doznajemy skutków! Futerał, w którym był zamknięty, należał do jakiegoś spostrzegacza, żeglującego na pokładzie jakiegoś statku..

— Nie, kapitanie, — odrzekł porucznik Prokop, gdyż spostrzegacz ten niezawodnie umieściłby dokument w butelce, gdzie lepiej byłby zabezpieczony od wilgoci, aniżeli w skórzanym futerale. Sądziłbym raczej, że jakiś uczony, który mieszkał sam na pewnym punkcie wybrzeża zaoszczędzonym, chcąc dać poznać rezultat swych spostrzeżeń, posłużył się tym futerałem, może mniej cennym dla niego aniżeli butelka.

— Mniejsza o to zresztą! — rzekł hrabia. W tej chwili pożyteczniej byłoby wyjaśnić co znaczy ten szczególny dokument, aniżeli starać się odgadnąć kto jest jego autorem. Postępujmy więc po porządku. A naprzód co to jest ta Gallia?

— Nieznam żadnego planety, wielkiego ani małego, któryby nosił to nazwisko, — odrzekł kapitan Servadac.

— Kapitanie, — rzekł wtedy porucznik Prokop, nim pójdziemy dalej, — pozwól pan zrobić sobie jedno zapytanie.

— Rób pan.

— Czy nie jesteś pan zdania, że dokument ten zdaje się usprawiedliwiać tę ostatnią hipotezę, według której część kuli ziemskiej ciśniętą została w przepaść?

— Tak jest.. być może... — odrzekł Hektor Servadac, pomimo że zarzut przeciw temu wyprowadzony co do materyi, z jakiej powstała nasza asteroida, istnieje ciągle.

— A w takim razie, — dodał hrabia, uczony, o którym mowa, nadał nazwę Gallii nowemu ciału niebieskiemu.

— Więc byłby to uczony francuski? zauważył porucznik Prokop.

— Tak trzeba przypuszczać, — odpowiedział kapitan Servadac. Uważ pan, że z ośmnaście wyrazów, składających dokument, jedynaście jest francuskich, trzy są włoskie i dwa angielskie. Dowodziłoby to również, iż ów uczony, nie wiedząc w jakie ręce wpadnie jego dokument, chciał użyć wyrazów rozmaitych języków, by mieć większą pewność, że będzie zrozumianym.

— Przypuśćmy, że Gallia jest nazwą nowej asteroidy, krążącej w przestrzeni, — rzekł hrabia

i idźmy dalej. „*Ab sole* odległość 15 lutego pięćdziesiąt dziewięć milionów mil.“

— Była to w samej rzeczy odległość oddzielająca Gallię od słońca w owej epoce, odpowiedział porucznik Prokop, gdy przecinała orbitę Marsa.

— Dobrze! — rzekł hrabia. — Więc pierwszy ustęp dokumentu zgadza się z naszemi spostrzeżeniami.

— Zupełnie, — dodał porucznik Prokop.

— „Droga przebieżona od stycznia do lutego.“ — zaczął znowu hrabia, czytając dalej, — ośmdziesiąt dwa miliony mil.“

— Tu chodzi widocznie, — zauważył Hektor Servadac, o drogę przebieżoną przez Gallię po nowej orbicie.

— Tak jest, — dodał porucznik Prokop, a według praw Keplera, szybkość Galli, czyli, to wychodzi na jedno, szybkość przebieżona w równych odstępach czasu, musiała zmniejszać się stopniowo. Owoż najwyższa temperatura, jakiej doświadczyliśmy, dała się właśnie czuć 15 stycznia. Jest zatem prawdopodobnem, że w tym czasie Gallia znajdowała się najbliżej słońca i że poruszała się wtedy z szybkością dwa razy większą aniżeli ziemia, która robi tylko dwadzieścia ośm tysięcy mil na godzinę.

— Bardzo dobrze, — odrzekł kapitan Serdac, ale to nie wskazuje nam na jaką odległość Gallia oddali się od słońca, ani czego mamy spodziewać się, lub obawiać, w przyszłości.

— Nie, kapitanie, — powiedział porucznik Prokop; ale przy należytych spostrzeżeniach, poczynionych na różnych punktach Gallii, możnaby bezwątpliwie określić to, zastosowując prawa ogólne grawitacyi,

— A zatem i drogę, którą ma przebiegać w świecie słonecznym, — dodał kapitan Servadac.

— W samej rzeczy — rzekł hrabia, — jeżeli Gallia jest asteroidą, więc jest, jak wszystko poruszające się, podległą prawom mechaniki i słońce reguluje jej ruch, tak jak ruch planet. Od chwili, jak ten odłam oddzielił się od ziemi, pochwycony on został niewidzialnym łańcuchem atrakcyi i orbita jego jest teraz ustanowiona niewzruszenie.

— Chybaby, — odrzekł porucznik Prokop, jakie inne ciało niebieskie zmodyfikowało następnie tę orbitę. O! nie wielkie to ciało ta Gallia, w porównaniu z innymi w systemie słonecznym! i planety mogą mieć na nią wpływ stanowczy.

— To pewna, — rzekł kapitan Servadac, że Gallia może mieć niemiłe spotkanie po drodze i uchylić się od niej. Przy tem wszystkiem zauważcie panowie, że rozumujemy jak gdyby było dowiedzionem, że staliśmy się Galijczykami! A kto nam udowodni, że ta Gallia, o której mówi dokument, nie jest poprostu sto siedmdziesiątym małym planetą, nowo-odkrytym?

— Nie, — odrzekł porucznik Prokop, to być nie może. Planety teleskopowe poruszają się w wązkim pasie między orbitami Marsa i Jowisza. A zatem nigdy nie przybliżają się do słońca, tak blisko jak Galia przybliżyła się była. A o fakcie tym niepodobna wątpić, ponieważ dokument zgadza się z naszemi własnemi przypuszczeniami.

— Na nieszczęście, — rzekł hrabia, brak nam instrumentów dla robienia obserwacyi i nie możemy obliczyć elementów naszej asteroidy.

— Kto wie! — odrzekł kapitan Servadac. Prędzej czy później dowiemy się o wszystkiem!

— Co do ostatnich słów dokumentu, zaczął znowu hrabia „Va bene! — All right! — Doskonale!!!“ to te nic nie znaczą...

— Chyba to, — odpowiedział Hektor Servadac, że autor jest zachwycony nowym stanem rzeczy i znajduje, że wszystko idzie najlepiej na najlepszym z niemożebnych światów.

ROZDZIAŁ XVI.

W którym kapitan Servadac trzyma w ręku wszystko, co pozostało z rozległego kontynentu

Tymczasem *Dobryna*, opłynąwszy ogromny przylądek, tamujący jej drogę na północ, zwróciła się ku miejscu, w którem powinienby znajdować się przylądek Creus.

Podróżni dzień i noc rozprawiali o tych dziwnych rzeczach. Wyraz Gallia często powracał w ich rozmowie i powoli, prawie bezwiednie, przyznali jej wartość geograficzną jako nazwie asteroidy unoszącej ich wśród światów słonecznych.

Ale rozprawy nie mogły sprawić tego, by zapomnieli, że mają zająć się poznaniem brzegów morza Śródziemnego. To też galiota ciągle płynęła tak blisko, jak tylko mogła przy nowych ramach tej okolicy, która prawdopodobnie stanowiła jedyne morze Gallii.

Część wyższa ogromnego przylądka dochodziła do miejsca, które powinna była zajmować Barcelona na wybrzeżu iberyjskiem; ale to wybrzeże, tak samo jak i ważne miasto, znikło, zapewne pochłonięte wodami, których fale uderzały o skały cokolwiek dalej. Potem skały te odchylały się ku północno-wschodowi i znowu wysuwały się koło przylądka Creus.

Z tego przylądka nic nie pozostało.

Tam zaczynała się granica francuska; można więc sobie wystawić jakie myśli nawiedzały kapitana Servadac, gdy ujrzał, że nowy grunt zastąpił grunt jego kraju. Nie przebyta zapora wznosiła się przed wybrzeżem francuskiem i nie pozwalała nic widzieć. Ustawiona jak ściana prostopadła, wysoka przeszło na tysiąc stóp, nie przedstawiając żadnego dostępnego punktu, tak samo dzika, stroma i „nowa,“ jak ta, którą widziano po drugiej stronie Śródziemnego morza, rozwijała się ona tam, gdzie właśnie powinny były zarysowywać się urocze brzegi Francyi południowej

Z bliskiej odległości w jakiej znajdowała się galiota, nie ukazywała się nie z tego co tworzyło niegdyś brzeg morski departamentu Pireneów wschodnich, ani przylądek Bearn, ani Port-Vendres, ani ujście rzeki Tech, ani staw Saint-Nazaire, ani ujście rzeki Tet, ani staw Salces. Na granicy departamentu Aude, dawniej tak malowniczo poprzecinanego stawami i wyspami, nie było ani śladu okręgu Narbonne: Od przylądka Agde na granicy Herault, aż do zatoki Aigues-Mortes nie istniało nic, ani Cette, ani Frontignan; nic z tego łuku, który okrąg Nimes kąpał niegdyś w morzu Śródziemnem, nic z równin Crau i Camargue, nic z kapryśnych zakrętów Bouches du Rhone. Martignes znikło! Marsylia przepadła! Można było przypuszczać, że nie spotka się już ani jeden punkt lądu europejskiego, który nosił nazwę Francyi.

Hektor Servadac, chociaż przygotowany na wszelkie wypadki, uczuł się jakby skamieniałym wobec tej rzeczywistości. Nie dostrzegał już on ani śladu tych brzegów, których okolice były mu znane. Czasami, gdy nowe wybrzeże zaginało się ku północy, spodziewał się odnaleść kawałek ziemi francuskiej, który uniknął klęski; ale jak daleko zagłębienie sięgało, nie ukazywało się nic z cudnych brzegów Prowancyi. Gdy nowa rama nie odgraniczała dawnych wybrzeży, to pokrywały je wody Śródziemnego morza, i kapitan Servadac zapytywał sam siebie, czy wszystko co pozostało z jego kraju nie redukuje się do tego szczupłego terytoryum, do tej wyspy Gurbi, na którą potrzeba będzie wrócić!

— A jednak — powtarzał hrabiemu — kontynent Galii nie kończy się na tym nieprzystępnym brzegu! jej biegun północny jest dalej! Co się znajduje po za tym morzem? O tem trzeba dowiedzieć się! Jeżeli jednak, pomimo wszystkich fenomenów, których jesteśmy świadkami, to, po czem stąpamy jest jeszcze kulą ziemską, jeżeli ona ciągle nas jeszcze unosi, tylko w nowym kierunku, w systemie słonecznym, jeżeli nakoniec Francya, a z nią cała Europa przepadły, to należy sprawdzić! Czyż nie znajdziemy jakiejkolwiek przystani, by wylądować na tem wybrzeżu? Czy nie ma żadnego sposobu dostania się na tę niedostępną skałę i rozpatrzenia, choćby raz jeden, okolicy, którą nam zakrywa? Wylądujmy! na miłość boską wylądujmy!

Ale *Dobryna*, płynąc wciąż przy ścianie, niedostrzegała najmniejszego przystępu, w którym mogłaby schronić się, ani nawet żadnej skały, na którejby mogła stąpić noga jej załogi. Brzeg ciągle był utworzony z podstawy stromej, gładkiej, prostopadłej, aż na wysokość do dwóch set lub trzechset stóp, którą wytworzyły dziwne kształty krystaliczne. Widocznem było, że ta nowa granica morza Śródziemnego wszędzie przedstawiała takiż sam układ skał, jak gdyby ten wyszedł z jednej i tej samej formy.

Dobryna silnie paląc pod kotłem, bystro pędziła ku wschodowi. Pogoda była piękna. Atmosfera, już szczególnie oziębiona, mniej była zdolną do nasycania się wilgocią. Zaledwie kilka obłoków, przesuwając się po niebie, tworzyło tu i owdzie przejrzyste prawie zasłony. W dzień, zmniejszony krąg słońca rzucał blade promienie, nadające przedmiotom niepewne cienie. W nocy gwiazdy błyszczały światłem niezwykłem, ale niektóre planety słabły w odległości. Tak rzecz się miała z Wenerą, Marsem i tą nieznaną gwiazdą, która umieszczona w szeregu planet podrzędnych poprzedzała słońce, to przy jego zachodzie, to przy wschodzie. Co do ogromnego Jowisza, pysznego Saturna, to światło ich jeszcze się zwiększało, z powodu że Gallia ku nim się przybliżała i porucznik Prokop pokazał widzialnego gołem okiem tego Urana, który nigdy nie pokazywał się bez pomocy lunety. Gallia zatem grawitowała, oddalając się od swego punktu przyciągającego po świecie słonecznym.

Dnia 24. lutego, płynąc po krętej linii, która przed kataklizmem tworzyła brzeg departamentu Var, szukając napróżno wysp Hyères, półwyspu Saint-Tropez, wysp Lerins, zatoki Cannes, zatoki Jouan, *Dobryna* przybyła na wysokość przylądka Antibes.

W tem miejscu, ku nadzwyczajnemu zdziwieniu, ale zarazem ku niezwykłemu zadowoleniu wędrowców, wązkie wcięcie rozdzielało ogromną skałę od góry do dołu. U jego podstawy ponad poziomem morza rozciągała się niewielka płaszczyzna, do której łódź mogła przybić z łatwością.

— Nakoniec możemy wylądować! — zawołał kapitan Servadac, nie będący już panem siebie.

Zresztą nie było co wstawiać się do hra-

biego, by go wciągnąć na nowy kontynent. Porucznik Prokop i on byli spragnieni dotknięcia ziemi tak samo jak kapitan Servadac. Być może, iż idąc tem wcięciem, które zdaleka wydawało się jak wyschłe łożysko potoku, zdołają dostać się na szczyt skały i znajdą szeroki zakres dla wzroku, co w braku terytoryum francuskiego pozwoli im należycie rozpatrzeć tę dziwną okolicę.

O siódmej godzinie rano, hrabia, kapitan i porucznik wylądowali na wybrzeżu.

Po raz pierwszy znaleźli niejakie ślady dawnego brzegu. Były to owe wapienne żółtawe kamienie, któremi po większej części zasiane są wybrzeża Prowancyi. Ale wąska ta płaszczyzna, widocznie kawałek dawniejszej kuli ziemskiej, miała zaledwie kilka metrów powierzchni, więc wędrowcy, nie zatrzymując się na niej, rzucili się ku łożysku, chcąc je przebyć.

Łożysko to było suche i łatwo było dostrzedz, że nigdy żaden potok nie toczył tędy swych wód niespokojnych. Skały tego łożyska, tak samo jak skały tworzące oba boki, przedstawiały taki sam skład jak wszystkie widziane dotąd i nie zdawały się jeszcze podlegać wiekowym wpływom. Geolog zapewne określiłby ich właściwe miejsce w szeregu litologicznym, ale ani hrabia, ani oficer głównego sztabu, ani porucznik Prokop nie mogli poznać ich natury.

Jednak, jeżeli rozdół ten nie przedstawiał żadnych śladów wilgoci dawnej, ani świeżej, można już jednak było przewidzieć, że gdy warunki klimatyczne zmienią się radykalnie, będzie on z czasem służyć za odpływ znacznej ilości wód.

I w samej rzeczy już kilka płacht śniegu połyskiwało w różnych miejscach na pochyłościach wyniosłości, a stawały się one szerszemi i grubszemi na szczytach skał. Prawdopodobnie że cała okolica po za ścianą znikała pod białym pokładem lodowców.

— Otóż są — zauważył hrabia — pierwsze ślady wody słodkiej, jakie znajdujemy na powierzchni Galii.

— Tak jest — odrzekł porucznik Prokop — a zapewne na większej wysokości nie tylko śnieg, ale i lód utworzył się pod wpływem zimna ciągle wzrastającego. Nie zapominajmy, że jeżeli Galia ma kształt sferoidalny, to jesteśmy tu bardzo blisko okolic arktycznych, na które bardzo ukośnie padają płomienie słoneczne. Bezwątpienia, że noc nie może nigdy być tam kompletną, jak pod biegunami ziemi, ponieważ słońce nie opuszcza równika, dzięki słabej pochyłości osi obrotowej, a zimno będzie tam prawdopodobnie nadzwyczajne, zwłaszcza jeżeli Galia oddali się od punktu ciepła na znaczną odległość.

— Poruczniku — zapytał kapitan Servadac — czy nie należy obawiać się, iż zimno na powierzchni Galii stanie się takiem, iż żadna żywa istota nie zdoła go znieść!

— Nie, kapitanie — odrzekł porucznik Prokop — Na jakąkolwiek odległość oddalimy się od słońca, zimno nie przekroczy nigdy granicy wskazanej temperaturze przestrzeni gwiazdzistych, to jest tych okolic nieba, gdzie jest brak zupełny powietrza.

— A granice te są?

— Około sześćdziesięciu stopni termometru stustopniowego, według teoryi jednego Francuza, uczonego fizyka Fourier.

— Sześćdziesiąt stopni! — zawołał hrabia — sześćdziesiąt stopni nad zero! Ależ taka temperatura jest nie do wytrzymania!

— Takie zimno — odrzekł porucznik Prokop, już wytrzymywali żeglarze angielscy na morzach podbiegunowych; jeżeli się nie mylę, na wyspie Melville Parry widział, jak termometr spadł na pięćdziesiąt sześć stopni niżej zera.

Wędrowcy zatrzymali się na chwilę by wypocząć, gdyż, jak to zawsze się wydarza, wstępującym na wysokość, powietrze, powoli rozrzadzające się, utrudniało im ruchy. Oprócz tego, nie doszedłszy jeszcze na znaczną wysokość — zaledwie sześćset lub siedmset stóp, czuli bardzo dotkliwie zniżanie się temperatury. Na szczęście pokłady masy mineralnej, z ktorych utworzone było łożysko rozpadliny, ułatwiały im pochód i w półtory godziny po opuszczeniu małej płaszczyzny, dosięgli szczytu skały.

Skała ta panowała nietylko nad morzem od południa, ale i nad północą całej nowej okolicy, która nagle zniżała się.

Kapitan Servadac nie mógł powstrzymać krzyku.

Francyi tam nie było! Niezliczone skały piętrzyły się aż do ostatnich granic widnokręgu. Wszystkie obsypane śniegiem, lub obłożone lodem, zlewały się w dziwną jednostajność. Było to ogromne zbiorowisko materyi, która skrystalizowała się w sześciokątne regularne pryzmata. Galia zdawała się być tylko produktem formacyi mineralnej, jedynej i nieznanej. Jeżeli szczyt skał, tworzących ramy morza Śródziemnego, nie przedstawiał tej jednostajności w swych górnych kończynach, to dla tego, że jakiś fenomen, może ten, któremu zawdzięczano istnienie wody morskiej, w chwili kataklizmu, zmodyfikował powierzchnię tych ram.

Jakkolwiekbądź w tej południowej części Galii nie było widać ani śladu ziemi europejskiej. Wszędzie nowa substancya zastąpiła dawny grunt. Nie było owych wiosek Prowancyi, ani owych ogrodów pomarańczowych i cytrynowych, których czerwonawy humus piętrzy się na pokładach suchych kamieni, ani tych gajów oliwnych o ciemnem liściu, ani alei mimoz, palm i eukaliptów, ani krzaków geranium olbrzymiego, po nad któremi wznoszą się długie gałęzie aloesów, ani zardzewiałych skał wybrzeża, ani gór na dalszym planie z ich ponurą osłoną z drzew iglastych.

Nie było tam nic z królestwa roślinnego, ponieważ najmniej wymagająca z roślin podbiegunowych, nawet same mchy podśnieżne, nie mogłyby rosnąć na tym skalistym gruncie! Nie było nic z królestwa roślinnego, ponieważ żaden ptak z okolic arktycznych nie znalazłby tam pożywienia na jeden dzień.

Było tam tylko królestwo mineralne w całej swej straszliwej dzikości.

Kapitan Servadac był pod wrażeniem wzruszenia, od którego, jak mu się zdawało, jego charakter powinienby był go ochronić. Nieruchomy na szczycie jednej skały, spoglądał on wilgotnemi oczyma na nowe terytoryum, rozpościerające się przed nim. Nie chciał wierzyć, by Francya istniała tam kiedykolwiek.

— Nie! — zawołał, nie! Nasze spostrzeżenia omyliły nas! Nie dosięgliśmy jeszcze do tej paraleli, która przechodzi przez Alpy Nadmorskie. Tam dalej, w tył, rozciąga się terytoryum, którego szukamy śladów! Ściana wystąpiła z wód, niech tak będzie; ale po za nią ujrzymy ziemie europejskie! Chodźmy, hrabio, chodźmy! Przeprawmy się przez te lody i szukajmy jeszcze, szukajmy ciągle!...

To mówiąc, Hektor Servadac zrobił około dwudziestu kroków naprzód, by wynaleźć jaką ścieżkę wśród sześciokątnych brył skały.

Nagle zatrzymał się.

Noga jego potrąciła pod śniegiem kawałek kamienia ociosanego. Z formy i barwy kamień ten nie zdawał się należeć do nowego gruntu.

Kapitan Servadac podniósł go.

Był to wyżółkły kawałek marmuru, na którym można było jeszcze dopatrzeć wyryte niektóre litery, między innemi te trzy:

Vil...

— Willa! — zawołał kapitan Servadac, rzucając kamień, który rozbił się na tysiąc kawałków.

Z tej willi, pysznego może budynku, wzniesionego prawie na samym końcu przylądka Antibes, w najcudniejszej miejscowości, tego wspaniałego przylądka, rzuconego jak zielona gałązka między zatoką don Jouan i nicejską, z tej uroczej panoramy, uwieńczonej Alpami nadmorskiemi, które ciągnęły się łańcuchem malowniczych gór Estrelle, przechodząc przed Eza, Monaco, Roquebrune, Menton i Vintimille, aż do włoskiego punktu Brodighera, cóż teraz pozostawało? Ani kawałka marmuru, który w proch się rozsypał!

Kapitan Servadac, nie mogąc dłużej wątpić, że przylądek Antibes znikł we wnętrznościach nowego kontynentu, zagłębił się w rozmyślanie.

Hrabia podszedłszy ku niemu, powiedział z powagą:

— Kapitanie! — znasz pan dewizę rodziny Hope?

— Nie, hrabio, — odrzekł Hektor Servadac.

— Opiewa ona: *Orbe fracto, spes illaesa!*

— Jest ona w sprzeczności z rozpaczliwemi słowami Danta!

— Tak jest, kapitanie; a teraz powinna stać się naszą dewizą! (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 30. grudnia.

Chwała Panu Bogu, że oczekiwane, wyglądane, upragnione święta już przeszły, a jeszcze lepiej, że przeszły bardzo wesoło. Pogoda nam dopisała, po mieście wszystko dzwoni i brzęczy, sanki jak te jaskółki po nad wodą uwijają się, unosząc piękne damy używające szlichtady, a na szumanowskim stawie, amatorowie gimnastycznych ewolucyi, wykrawują łyżwami po lodzie ósemki. Więc wszystko w porządku, nawet strucle się w tym roku wszędzie udały i jak dotąd z należnym apetytem zjedzone. Dzieci nacieszyły się choinką, a panowie kupcy delikatesów wcale nie delikatnie zagarnęli nam z kieszeni sporo papierków.

Tym sposobem stary rok kończy się pod szczęśliwą wróżbą. a nowy niedorostek jeszcze więcej obiecuje: Najprzód długi karnawał... no, nie tak znów, jakby to młode czytelniczki chciały, bez końca, bez końca... Po drugie między młodzieżą objawia się wielki pociąg do związków matrymonialnych. Czy to z powodu wojny, czy też że im się sprzykrzyła ta walka z płcią piękną, gdzie widocznie od kilku lat szło upor na upor, kto kogo przetrzyma — dość, że spokornieli i w przyszły karnawał zobaczycie ich nie struclem już, ale prawdziwym plackiem u nóg swoich... I mogą to zrobić bez zarumienienia się, bo skoro marszałek Mac-Mahon, wielki prezydent Francyi, nadąsawszy się na jakąś Gambetę, która

musi być rodzaju żeńskiego, ustąpił, i opuściwszy uszy powiedział mea culpa, dlaczegożby i młodzież nasza naśladująca Francuzów we wszystkiem, nie poszła tym razem za jego przykładem, mając do czynienia nie z jakąś tam Gambetą i rzeczpospolitą, ale z całemi bateryami dalekonośnych czarnych, szafirowych i piwnych ócz waszych, które nigdy nie chybią celu. Zresztą powiem wam pod sekretem, nad głowami tych uparciórhów z wąsami, zbiera się prawdziwa burza: podczas świąt w jednem poważnem gronie składającem się z płci pięknej i zastępu oburzonych ojców, mających córki na wydaniu, powstała myśl podania zbiorowej petycyi do sejmu czy do rady państwa, aby upartych starszych kawalerów opodatkować... Wasz kronikarz był pierwszy, co za tem głosował, nawet ułożył sobie już projekt adresu zaczynającego się od słów „niesłychana w dziejach świata krzywda uciemiężonego i zteroryzowanego rodzaju żeńskiego przez rodzaj męski składa przed wysokiem twem tronem szanowny sejmie...“ gdy jeden z radców miejskich wystąpił z opozycyą, że tego rodzaju inicyatywa tylko od Rady miejskiej wyjść powinna. My, panie, rzecze z powagą, za pomocą kagańców i wysokich opłat ukróciliśmy swawolę psów we Lwowie... Powstał krzyk straszny w całem gronie... mówcę dzwonieniem w szklanki przywołano do porządku... przepraszam nie do porządku, bo wiadomo, że Rada miejska lwowska wcale o porządek nie dba, ale do milczenia...

— Jak można robić takie porównania! — wołali starzy kawalerowie oburzeni... Cóż tu mają kagańce?...

— Za pozwoleniem — krzyczy radca — ja chciałem... ja proponuję radykalnie... — Jeszcze większy hałas... kobiety stanęły w obronie znieważanych stanów...

— A fundusz użyć na oświatę...— krzyczy dalej mowca.

— Chyba głów magistrackich — dorzucił złośliwie niemłody już konsyliarz. I nie dano mu więcej mówić, — i pierwsze posiedzenie spełzło na niczem.

Ale szanowna młodzieży, co się odwlecze, to nie uciecze. Ja trzymam za moim adresem, a wszystkie przyjaciółki moje przyrzekły, że nie jedną, ale obiema rękami podpisywać będą... więc weźcie to sobie na rozum sapienti sat!... wstrzymuję to wszystko do czasu, ale...

Panie z swej strony przyrzekły również wszelkie ustępstwa do tej mediacyi, i na początek zrzekły się zupełnie długich sukien. Jedna z tutejszych gazet, donosząc o skazaniu w Paryżu tej części ubrania na śmierć gilotynową, przez delikatność nazwała ją *powłoką;* ja na to zgodzić się nie mogę, powłoka ma inne znaczenie, a zatem nie powłoki, a *włócze* będą po nowym Roku obcięte .. i panienki do tańca wystąpią już bez włóczów na wielką pociechę niezgrabiaszów, którzy właśnie dla tego, żeby nie przydeptywać tych włóczów, nie śmieli nigdy zbliżać się do was szanowne czytelniczki. Plewna się poddała na łaskę i niełaskę, wam nie wypada nic innego zrobić, jak również bramy serc waszych pootwierać na rościeź, skoro włóczące się za sukniami waszemi przynależytości uprzątnięte zostaną.

Ale czas podobno zamknąć nad tym przedmiotem dyskusyę i zacząć kronikę na seryo. Rozpocznijmy ją od przejażdżki naszych panów galicyjskich do Nubii i Abisynii. Na prawdę trzech hrabiów, jeden książę, jeden doktór, jeden przyrodnik i jeden malarz popłynęli na chińskim statku do Afryki w celach naukowych. Cała Polska wygląda z tamtych stron ogromnych rezultatów dla swej przyszłości — wielkie zdobycze naukowe, jakie ci panowie z Afryki przywiozą, niezawodnie nakarmią biedny lud galicyjski, który co trzeci rok dziesiątkuje śmierć głodowa. Jestem przekonany, że ci panowie jadący w tak ważnej misyi do krajów podrównikowych, zabrali na ów chiński statek powieść Dickensa „Bleak House“, w której właśnie znajdą doskonałego przewodnika, jak to dzieci pewnej filantropijnej Angielki zajmującej się sprawami dzieci murzyńskich, chodziły nago po ulicach Londynu.. Co do nas, to przyznamy, iż daleko przyjemniej byłoby nam wyczytać w gazetach o wyprawie tych panów do ludów góralskich w Galicyi, niż do Abisynii; zdaje się, że koszula jest najbliższą ciała..

Z drugiej strony za to cieszy nas, że coraz więcej imion polskich wypływa na wierzch między nazwiskami cudzoziemców, zasługujących na powszechne uznanie. Z artystów prócz Matejki i Siemiradzkiego, pisma wiedeńskie nadzwyczaj przychylnie odzywają się o „Zgonie Acerna“ Leopolskiego, pan Jarosław Michałowski wydaniem „Międzynarodowej statystyki dróg żelaznych“ zwrócił uwagę uczonych ekonomistów, którzy już na kongresie Peszteńskim przyznali wielką ważność statystyczną tej pracy... Dalej, przed kilku dniami grono znawców w pracowni chemicznej profesora tutejszego Uniwersytetu dra. Radziszewskiego, przyznało wielkie znaczenie i zupełną praktyczność aparatowi sygnalizującemu o pożarze, pomysłu i wykonania p. Stanisława Ziembińskiego, dyrektora Instytutu przemysłowo technicznego w Krakowie. Maleńki i tani przyrząd umieszczony w pokoju, czy w większej sali, połączony delikatnym drucikiem ze zwykłym aparatem elektrycznym używanym do komunikacyi, alarmuje dzwonek elektryczny, skoro tylko temperatura pokoju podniesie się do oznaczonego stopnia ciepłoty. Stopień ten może być różny, lecz przy 35° Celsiusza już staje się niebezpieczeństwem, że pożar wybucha i trzeba spieszyć na ratunek. Przyrząd ten, który wynalazca nazwał *strażnikiem,* jest nadzwyczajnie czuły i niezawodny, działa na większe odległości, ztąd może być połączony z siedzibą straży ogniowej, i w razie uszkodzenia drutu przewodniego sam daje znać o tem. We wszystkich miejscach publicznych, gdzie mieszczą się zbiory sztuki, muzea, biblioteki, archiwa, kasy i t. p, a nawet w magazynach rzeczy kosztownych, strażnik p. Ziembińskiego odda znakomite usługi, ostrzegając o wewnętrznym pożarze z czujnością bezprzykładną. A wreszcie jest to przyrząd tani, nadzwyczaj prosty i nieulegający zepsuciu.

I na polu literackiem, zaczynają Niemcy coraz więcej zajmować się utworami naszemi. I tak Rafał Löewenfeld wydał dzieło o Janie Kochanowskim. Dr. Blumenstok studyum o Dziadach Mickiewicza, a p. Artur Lubrański, korespondent wielu pism niemieckich, za temat do fejletonów i rozpraw swych wybiera rzeczy polskie. W miejscu również, choć nie z takim skutkiem, aby się Niemcy zająć niem mogli, praca produkcyjno - literacka nie ustaje. Piast księdza Stojałowskiego przemienia się w pismo już polityczno - klerykalnej treści i ma wychodzić trzy razy na tydzień. Jest to jeden krok naprzód do utworzenia we Lwowie dziennika konserwatywnych zasad, coś w rodzaju „Czasu“ krakowskiego. Wreszcie nie możemy przesądzać jakim będzie ten protoplasta kołodziei i królów polskich pod siekierą księdza Stojałowskiego, lecz musimy zwrócić uwagę, że śp. „Piast“ nie żył w celibacie, i że trudno mu będzie choćby trzy razy na tydzień obejść się bez Rzepichy; a ztąd wynika konsekwencya, że antagonista jego drugi ksiądz redaktor we Lwowie, pospieszy stworzyć mu rzeczoną małżonkę. Jakkolwiek ojciec Piast był bardzo bogobojną osobą, którą aż aniołowie odwiedzali, to jednak potrzebuje w te wolne dnie od wychodzenia choćby dla konkokcyi żołądka pokłócić się choć trochę z kimś drugim, a zatem *Rzepicha* staje się koniecznością.

Szanowne czytelniczki! Rok stary się kończy, tyle wam nakładłem do głów nadziei, że wypada coś obiecać dobrego i nóżkom: jak raz wyręczył mię w tem pan Alojzy Lipski, ofiarując na przyszły karnawał... zgadnijcie co? Pewnie trzewiczki, powiecie. Przepraszam, bo właśnie cztery plagi na trzewiczki, w formie ochoczych Polek do tańca, z których jedna pod nazwą *Notabene* nadzwyczaj wiele w tem słowie obiecuje, a zatem:

Pląsajcie o lube dzieci,
Choć się niebo chmurzy,
Grom za gromem z chmury leci,
Pląsajcie o lube dzieci,
Wasz wiek nie zna burzy.

* * *

Drugi odczyt *Henryka Schmitta,* który miał miejsce w zeszłą sobotę dnia 22 grudnia, nie mniej od pierwszego był ciekawym i pouczającym. Szanowny prelegent przedstawił sprawę polską na kongresie wiedeńskim. Sprawę naszą na kongresie podnosił sam jeden car Aleksander I, a to w zamiarze przyłączenia pod swoje panowanie całego kraju, przyrzekał za to nadać Polsce osobną konstytucyę. Car widział jak posiadanie odłamu kraju jest niepewnem i jak wiele przedstawia ambarasu i niebezpieczeństw dla rządu, życzył więc sobie połączyć w jedną całość całą Polskę, przywiązać ją do swej osoby i spotęgować tem swoje siły. Prusy, których zaborcza polityka sympatyzowała z moskiewską, i które ostrzyły zęby na zagarnięcie Saksonii, zgadzały się na plan carski z zastrzeżeniem sobie tylko tyle z dzierżaw polskich, aby miały lądową komunikacyę z wschodnią prowincyą czyli właściwemi Prusami. Anglia oświadczała swą gotowość odbudowania Polski, ale nie pod berłem carskiem, tylko Polski zupełnie niepodległej, a ponieważ nie widziała możności odbudowania niepodległej Polski, stanowczo odrzucała plan carski. Francya szła ręka w rękę z Anglią w tej sprawie. Jedna Austrya była zupełnie przeciwną wskrzeszeniu jakiejkolwiek Polski i jako contra plan carskiemu stawiała swój połączenia wszystkich części Polski pod berłem austryackiem, był to wszakże tylko żart Meternicha, albo krytyka planu carskiego.

Patryoci polscy, Adam Czartoryski, Kościuszko i inni, wspierali cara, wychodząc z tej słusznej zasady, że skoro nikt o Polsce nie myślał tylko car, nie mieli na kim się opierać, i że bądź co bądź połączenie Polski, pod jakiemkolwiek panowaniem, zawsze było rzeczą lepszą jak rozdział na trzy zabory.

Skoro więc większość kongresu była przeciwną połączeniu Polski, plan carski musiał upaść, i car dostał tylko większą część Księstwa Warszawskiego, po oddzieleniu Księstwa poznańskiego dla Prus, zobowiązał się nadać z tytułem Kró-

lestwa polskiego konstytucyę, wojsko polskie etc. przyrzekł w czasie, kiedy uzna za stosowne, przyłączyć do królestwa Litwę i Ukrainę, tj. 8 gubernii swego zaboru. Oraz wyrzeczoną została zasada, że we wszystkich zaborach mają być język i instytucye polskie szanowane, namiestnikami stanowieni Polacy i tp., wszakże wyrażono to nie jako rzecz obowiązkową, tylko jako życzenie oparte na sprawiedliwości. Jakoż car nadał królestwu konstytucyę, w części opartą na konstytucyi 3 maja, w części na konstytucyi Księstwa warszawskiego. Co do ośmiu gubernii, te pozostały jak były. Rząd pruski dla swego zaboru wyznaczył namiestnikiem Radziwiłła, chciał zaprowadzić wojsko polskie i uniwersytet w Poznaniu założyć, ale rychło powiał wiatr germanizacyjny i piękne projekta pozostały projektami tylko. Rząd austryacki zaś nic zgoła nie zrobił, bo utworzenie sejmów postulatowych nie miało żadnego zgoła znaczenia. Kraków z okolicą ogłoszono wolnem miastem.

Kongres wiedeński tylko potwierdził, sankcyonował w imieniu Europy rozbiór Polski, a nic dla niej nie zrobił.

Wiadomości z kraju i ze świata.

ZAPISY NA MEDAL PAMIĄTKOWY J. I. KRASZEWSKIEGO.

11. Wny. D. Harasimowicz w Husiatynie 3 złr.
12. Wny. Leon Wodziński w Stanisławowie 6 m.

Literatura, sztuka i nauka.

— Władysław Zawadzki wydał ustęp ze swoich pamiętników pt. *Literatura w Galicyi* 1772—1848. Dzieło dzieli się na dwie części: Cz. I. 1772 - 1830 Organizacya szkół, Uniwersytet, Profesorowie, Życie publiczne, Wychowanie domowe, drukarnie, księgarnie. Teatr, Aleksander, — Ignacy Lubicz Czerwieński, wpływ literatury niemieckiej, Zakład Ossolińskich. Dziennikarstwo, Gazety, pisma literackie niemieckie, polskie. Rozmaitości, Pamiętnik lwowski, Pszczoła polska, Pamiętnik galicyjski, Pielgrzym lwowski, Haliczanin. Cz. II. Wacław z Oleska, Żegota Pauli, August Wysocki, — August Bielowski i jego działalność. Wincenty Pol, Józef Borkowski, Leszek Borkowski, Dominik Magnuszewski, Stanisław Janowski, Ludwik Zieliński, Dyonizy Zubrzycki. Adam Kłodziński, Gwalbert Pawlikowski, Aleksander Batowski, Stanisław Przyłęcki, Jan N. Deszkiewicz, Maurycy hr. Dzieduszycki, Aleksander i Kazimierz Stadniccy, Karol Szajnocha, Wagilewicz, — Tomasz Kulczycki, Józef Dzierzkowski, Kornel Ujejski, Jan Dobrzański, Szczęsny Morawski, Liszt we Lwowie, Wystawa obrazów.

Już samo suche wyliczenie nazwisk wskazuje dostatecznie jak bogaty materyał zawiera książka p. Zawadzkiego, jak miłe wspomnienia budzi ona w ludziach starszych, jak pożądaną jest dla młodzieży. O ile autor umiejętnie skorzystał z tego bogatego materyału postaramy się w jak najkrótszym czasie obeznać czytelników.

— W sprawie projektowanego opodatkowania nafty. Napisał Teofil Merunowicz. Autor stanowczo występuje przeciwko projektowi rządowemu opodatkowania nafty w sposób zgubny dla pomysłu naftowego w kraju, który to podatek stanowczo zabiłby na czas dłuższy tę tak ważną a dotąd jeszcze mało rozwiniętą gałęź przemysłu krajowego.

— O polskim naczelniku Kościuszce i o Racławickiej bitwie dnia 4 kwietnia 1794 r. poemat Teofila Lenartowicza, wyszedł z druku w nowem wydan u jako 58 tomik „Biblioteki Mrówki“ (20 c). Prześliczny ten poemacik napisany dla ludu zasługuje na najszersze rozpowszechnienie.

— *Wędrowiec*, pismo tygodniowe, poświęcone podróżom, wychodzące w Warszawie od r. 1863, przechodzi obecnie na własność Filipa Sulimirskiego, dotychczasowego redaktora „Wędrowca“. W roku 1878 do „Wędrowca“ będzie dodawany dodatek podróży w arkuszach, a w skład redakcyi wchodzi pani Paulina Kraków.

Stowarzyszenia.

— Ze sprawozdania za ubiegłe półrocze *Towarzystwa politechników polskich w Monachium* dowiadujemy się że do Towarzystwa należało 13 członków czynnych i 19 honorowych. Biblioteka Tow. liczy 258 dzieł w 360 tomach. Dochodu Tow. miało 85 marek 10 fen. z tego na prenumeratę czasopism obrócono 75 m. 63 f. Czasopism tow. prenumeruje 7.

— *Towarzystwo bratniej pomocy w Dublanach* podaje w swojem sprawozdaniu, iż liczyło członków 40 i honorowych 10. Dochód w letniem półroczu wynosił ze wkładek członków 85.60, z darów 39.81 wraz z innemi wpływami razem 224 złr. Z tego udzielono pożyczek członkom 44 złr. Zakupiono książek za 93 złr. koszta administracyi 37 złr. Towarzystwo posiada majątku 1.969 złr. Czasopism peryodycznych Towarzystwo odbierało 31. Zakupiono dzieł 5 uzyskano w darze 79 dzieł. Wogóle Biblioteka liczy 434 dzieł polskich, 88 niemieckich, 21 francuskich, 1 angielskie, razem 544 dzieł w 807 tomach, z tej liczby dzieł treści rolniczej 186. Towarzystwo to urządza wieczorki literacko-naukowe i muzyczne.

— *Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczy wszechnicy lwowskiej na rok 1876—7* (za rok poprzedni patrz Nr. 45). Liczba członków 236 t. j mniej jak 1/4 ogółu studentów. Członków honorowych 148. Członkowie czynni wnieśli 427 złr. honorowi 84 złr. Wogóle przychód wynosił 1573 złr. Z tego użyto na zapomogi 91 członkom 843 złr. tj. wypada mniej jak 3 centy dziennie, a przeszło 9 złr. rocznie na jednego.

Z tego tylko tem pocieszającą uwagę zrobić możemy, że młodzież ochoczo garnie się do nauki, skoro aż 91 czyli 10% całego ogółu jest nie zamożnych i tę smutną, że *społeczeństwo tak szczupłej udziela im zapomogi, że mniej niż 3 ct. dziennie wypada na jednego*. 148 członków honorowych, między którymi książąt i hrabiów 19, biskupów i arcybiskupów 3, złożyło w ciągu roku tylko 84 złr. Ofiarność niezbyt hojna.

Wprawdzie i młodzież zbyt rozdrabia fundusze na kapitały żelazne i tp. kiedy ubożsi koledzy nie mają na chleb powszedni.

Podróże.

— Wyprawa na morze Lodowate szwedzkiego profesora Nordenskjoelda już czyni przygotowania do odjazdu. Program podróży całej jako też sposób urządzenia tej wyprawy naukowej uzyskał sankcyą królewską. Osobny parowiec, zastosowany do warunków żeglugi po morzu Lodowatem, zbudowano dla tej ekspedycyi. Załogę jego stanowić będą oprócz dzielnych, z naturą podbiegunową oswojonych żeglarzy, czterej uczeni i lekarz. Pierwszym celem wyprawy będzie zbadanie okolic ujścia Jeniseju, a następnie przylądka Czeluskina, zkąd prof. Nordenskjoeld będzie się starał dotrzeć jak najdalej w kierunku północno-wschodnim.

— Amerykańska wyprawa polarna, która w połowie lata br. udała się w okolice podbiegunowe, gdzie założyć ma stałą kolonię ze stacyą meteorologiczną, dała o sobie pierwszą wiadomość, sięgającą dnia 29 sierpnia. Dowódzca wyprawy kapitan Tyson donosi w liście do kapitana Howgate w Nowym Yorku, że po nader uciążliwej podróży czterdziestodniowej, wyprawa szczęśliwie dotarła do Niumilis, przystani położonej w zatoce Kumberlandzkiej, gdzie zamierzano przezimować i stosownie do instrukcyi zebrać materyał do dalszej podróży. Osada okrętu Florence, na którym odbywa kapitan Tyson podróż pod biegun, stanowiąc niejako straż przednią samej wyprawy, była w najlepszem usposobieniu i wszyscy uczestnicy byli zdrowi.

Statystyka.

— Wiele otuchy wzbudzi zapewne w turystach a bardziej jeszcze w bojaźliwych z natury osobach, zniewolonych do podróży kolejowej, statystyka umieszczona niedawno temu, przez francuskie pismo Annales des Ponts et Chaussées. Dziennik ten wylicza według źródeł urzędowych, że w czasie kiedy jeszcze nie było kolei żelaznych, a podróże odbywano dyliżansami, przypadał jeden zabity na 335,000 podróżnych, 1 ranny na 30,000 podróżnych; podczas gdy od czasu istnienia kolei żelaznych, a mianowicie od 7 września 1835 do 31 grudnia 1875 przypada jeden zabity na 5,178.490, a jeden ranny na 580,450 podróżnych. Jest to nadzwyczaj pomyślna cyfra a nie należy zapominać, że z każdym rokiem bezpieczeństwo na kolejach zwiększa się znacznie. Podczas gdy w pierwszych latach po zaprowadzeniu kolei zginął śmiercią jeden podróżny na 1,955.555, to w ostatnich latach przypada jeden wypadek śmierci z wypadku kolejowego dopiero na 6,171.117 podróżnych. We Francyi w ostatnich czterech latach przypada jeden zabity na 45,258.270 podróżnych przewożonych koleją, w Belgii jeden na 20 milionów, w Anglii jeden na 12 miliardów. Z statystyki tej wypływa, że za czasów szybkowozów można było zginąć śmiercią od wypadku w drodze zrobiwszy 300.000 podróży, a być rannym, odbywszy 30.000 jazd. Obecnie wniosk ując według statystyki z ostatnich 3 lat, aby być ofiarą śmiertelnego wypadku, należałoby odbyć 6 milionów przejażdżek kolejowych, aby być rannym—milion przejażdżek. Prowadząc dalej swoje ciekawe kombinacye statystyczne, wspomniany dziennik oblicza, że osoba, jadąca ciągle kolejami po 10 godzin dziennie z szybkością 50 kilometrów na godzinę, ma „szansę“ być zabitą w przeciągu lat 7,430!...

— Ruch listów w Anglii. W roku 1876 poczta angielska przesłała 1,018,955,200 listów, 92,934,700 kart pocztowych i 125,005,800 gazet. Listów rzuconych przez nieuwagę zupełnie bez adresu było 33,000 a w 832 z tych listów były pieniądze; w jednym z nich znajdowało się 10,000 fr. w biletach bankowych.

Wystawa paryska.

— Wystawa lalek. Ministeryum oświecenia publicznego we Francyi, postanowiło w swojej sekcyi na przyszłej wystawie, pomieścić zbiór lalek, wysokich na trzy przeszło stopy, a przedstawiających starożytne kostiumy narodowe rozmaitych prowincyi francuskich. Oprócz wartości pod względem historycznym, lalki te wykonywane w właściwych prowincyach będą miarą biegłości i zręczności uczennic warstatów krawieckich, założonych przy szkołach niższych we wszystkich departamentach.

— Dla udogodnienia komunikacyi podczas przyszłej wystawy między Trocadero i Marsowem Polem zbudowaną będzie mała hidrauliczna kolej żelazna, po której wagony bez kół i lokomotywy po pochyłości wynoszącej 10 stopni przebiegać będą odległość 400 metrów mniej aniżeli w minucie. Wagony, których będzie tylko 3, mieścić się będą na sankach i suwać po gładkich szynach. W środku tzw. płozów w sankach znajdować się będzie mały otwór łączący się ze zbiornikiem wody poddanej ciśnieniu 3ch atmosfer. Tym sposobem pomiędzy sanki a szyny wciskać się będzie woda, zapobiegając tarciu i rozgrzaniu. Pociąg taki będzie miał siłę do przewiezienia na raz 165 osób z szybkością pół kilometru na minutę. Obliczono, że dziennie przewiezie 33 tysięcy osób. Płacę za przejazd ustanowiono na 50 centymów (40 fenygów).

Wojna.

— Balon torpedowy. Taką nazwę ma nowo wynaleziony w Ameryce przyrząd wojenny, który próbowano niedawno w Bridgefort, w Stanie Connecticut. Przeznaczeniem tego przyrządu jest wznosić umyślnie w tym celu skonstruowane torpedy w górę tak, ażeby pionowo stanęły w powietrzu nad oddziałem nieprzyjacielskim lub obleganą twierdzą, poczem oddzielają się one za pomocą automatycznego mechanizmu od balonu, spadają na dół i wybuchając, sprawiają najstraszliwsze spustoszenia.

— Poczta wojenna. *Prawda*, dziennik odeski, zawiera następujące szczegóły o organizacyi poczty przy armii naddunajskiej: Poczta składa się ze 159 furgonów, przeszło 300 koni i 150 woźnic Niemców-Konie w ogólności są bardzo złe, wyniszczone i stare, tak że zaledwie mogą uciągnąć próżne furgony, które ze swej strony nie ustępują w niczem pod względem swej doskonałości koniom. Nie wiele więc można liczyć na taką pocztę.

Rolnictwo.

— „Gaz. Handl.“ donosi, iż w grotach wierzchlejskich pod Ojcowem, w miejscu gdzie hr. Zawisza robi poszukiwania archeologiczne, odkryto znaczne pokłady guana. Guano wierzchlejskie, jak wykazała analiza, najzupełniej dorównywać ma peruwiańskiemu. Powstało ono z rozłożonych kości i ciał zwierząt przedpotopowych, oraz z nieczystości składanych w grocie przez zwierzęta i ptaki. Oceniając przymioty te, zawiązało się podobno towarzystwo przemysłowców, mające na celu eksploatacyę pokładów owego guana.

ROZMAITOŚCI.

Źródła Nilu. Zbadanie dokładne źródeł i całego przebiegu Nilu jest obecnie jednem z najciekawszych zadań, jakie nauka geografii rozwiązać pragnie. Niepodobna jeszcze oznaczyć czasu, w którym podróżnicy zwiedzać będą mogli wybrzeża rzeki Faraonów, podobnie jak dzisiaj zwiedzają brzegi Renu, nie ulega wszakże wątpliwości, że ciągle nowe na tym punkcie odkrycia rozjaśniają coraz więcej mroczną ich osłonę. W Londynie wyszedł w tych czasach ciekawy opis wycieczki w nieznane okolice wybrzeży Nilu, dokonanej przez p. Chaille Long, podróżnika, którego ciekawym i zajmującym opisom nauka wiele już zawdzięcza. Wyruszywszy z Kairu na statku „Bordéne“ dostał się bez żadnych przeszkód do Kartoum, miasta, mającego 30 tysięcy ludności i będącego punktem zbornym handlu całej środkowej Afryki. Na rynku, gdzie dawniej odbywała się na wielką skalę sprzedaż niewolników, mieszczą się składy gumy, piór strusich, hebanowego drzewa i kości słoniowej, dostarczanej przez ściągające tu z różnych stron karawany. Nad rzeką wznoszą się domy i pałace, zamieszkałe przez gubernatora, misyą katolicką, oraz wikaryusza apostolskiego monsignora Camboni. Szeroka przystań i kamienne na niej schody, ułatwiają wyładowanie i ładowanie towarów, po za obrębem wszakże miasta, roztacza się zaraz dzika i posępna okolica, trudna do przebycia. Bujna wegetacya wodorostów tworzy tu nieraz groźne ruchome tamy, o które rozbijają się statki. Niedawno właśnie jedna z podobnych wysp pływających, zamykała dalsze przejście, a zbite w masę zgniłe rośliny, które ją składały, wydawały woń przykrą, szerzącą zarazę w powietrzu. Izmaił pasza Ayub, gubernator miejscowy, postanowił ją usunąć i dokonał tego wreszcie po długich wysileniach. Wielu robotników, siłujących się na rozbicie strasznego zatoru tego, śmierć poniosło, już to od zarazy, już od ukąszenia jadowitych owadów, wpijających się w ciało jak kleszcze. Gdy wreszcie tama zepchniętą została i rozbitą, naraz rozległy się dzikie ryki pokaleczonych hypopotamów, które wraz z krokodylami miały tam swe gniazda, i nie prędko łożysko rzeki oczyściło się zupełnie. W dalszej żegludze swojej p. Chaillé napotkał drugą podobną zaporę, zdołał jej wszakże uniknąć szczęśliwie, przesunąwszy się wąskim przesmykiem. Po wielu niebezpieczeństwach, dotarł wreszcie do nieznanej Ugunda, zostającej pod rządem króla swego imieniem M'Tse. Odwiedziny u tego monarchy stanowią jeden z najstraszniejszych epizodów podróży. Dziki król posiadał prawo życia i śmierci nad swymi poddanymi, i według od dawna przyjętego obyczaju, ku uczczeniu gości, składa krwawe ofiary. Pan Chaillé powiada, że bez narażenia się na lekceważenie zgubne w swych skutkach, nie mógł odmówić przyjęcia tego hołdu, i opisuje, że w chwili, gdy rozmawiał z monarchą i dygnitarzami jego dworu, rozległy się krzyki nieszczęśliwych ofiar, które w liczbie trzydziestu w oczach jego zamordowano. Przeczytawszy ten opis, pomimo wszystkiego, co autor wyrzekł na swe usprawiedliwienie, przejmuje nas wstręt i zgroza. Trudno bowiem pojąć, jak człowiek urodzony w krajach cywilizowanych, a do tego chrześcianin, mógł stać się niejako wspólnikiem zbrodni dzikiego barbarzyńcy, patrząc na nią obojętnie i spokojnie, zamiast starać się jej przeszkodzić. Niepodobna zresztą przypuścić, ażeby podróżnicy europejscy w ten jedynie sposób utrzymywać mogli stosunki z dzikiemi ludami, tem więcej że misyonarze, którzy również przebywają pomiędzy niemi, nie uciekali się nigdy do podobnych środków.

Nowe Pompei. Wielką sensacyą budzi obecnie w Neapolitańskiem odkrycie archeologiczne, rozmiarami przypominające Herkulanum i Pompei. W pobliżu miejscowości Monte Gargano, w prowincyi apulijskiej, przy kopaniu studni natrafiono przypadkowo na szczątki miasta. Z razu odkryto starożytną świątynię Dyany, następnie wspaniały, około 20 metrów długi portyk z kolumnami, jednak bez kapitelów, a w końcu podziemną nekropolę zajmującą obszar około 15,000 metrów kwadratowych. Wydobyto już bardzo wiele ważnych napisów, z których część już się znajduje w neapolitańskiem muzeum narodowem. Odkryte miasto przedwiekowe jest identyczne z starożytnem Sipontum (pod Arpinium), o którem kilkakrotnie wzmiankują Strabo, Polybiusz, Liwiusz i inni autorowie rzymscy. Miasto to nie zostało jak Pompei zasypane popiołem, lecz zapadło się w ziemię wskutek gwałtownego trzęsienia ziemi. Domy jego leżą obecnie około 20 stóp pod powierzchnią pól uprawnych. Rząd włoski zarządził już, co należy, ażeby cenne zabytki archeologiczne wydobyć z ziemi w jak najlepszym stanie. Okoliczni obywatele, oraz arcybiskup miejscowy wspierają go w tych usiłowaniach jak najgorliwiej. Dzisiejsze miasto Manfredonia założone zostało w wiekach średnich na miejscu starożytnego Sipontum, lecz nikt wówczas nie przeczuwał nawet, jakie skarby ukrywa tam ziemia. W ostatnich dniach, jak donoszą dzienniki neapolitańskie, odkopano znowu pomnik jaki mieszczaństwo sipontyńskie wzniosło było wodzowi Pompejuszowi za pokonanie korsarzy, którzy byli plagą tych okolic. Znaleziono także osobne monety sipontyńskie. Archeologowie jednak obiecują sobie największą zdobycz w kolosalnej a bardzo starożytnej nekropolii, która przedstawia się jako prawdziwe morze grobowców i pomników.

Przez parę lat ostatnich ruch budowlany w Warszawie niezwykle był ożywiony. Co do tego przytaczamy następujące dane poczerpnięte ze źródła pewnego. W 1876 wybudowanych zostało domów frontowych 71 oraz 206 oficyn, w roku zaś 1877 frontowych 81, oficyn 168. Z porównania tych cyfr pokazuje się, iż w roku obecnym, mimo wielu nieprzyjaznych okoliczności, ruch budowlany większym był, niż w roku zeszłym.

W Odessie w skutek wielkiej drożyzny materyału opałowego, towarzystwo wodociągowe oświadczyło, iż zaprzestaje zaopatrywać miasto w wodę, w ślad za nim powzięło to samo postanowienie towarzystwo gazowe, nakoniec fabrykanci i właściciele większych zakładów w zbiorowem oświadczeniu zawiadomili, iż zmuszeni są rozpuścić robotników.

Smutne wiadomości dochodzą z Chin, gdzie już rok cały w niektórych okolicach, mianowicie w prowincyi Shansi, panują głód i choroby. Dziennik Ecl. Em. dowiaduje się, że w ostatnich czasach po tysiąc ludzi dziennie umierało w Shansi, i że wygłodniałe tłumy żywią się nietylko trupami ludzkiemi, ale także silniejsi napadają na słabszych, ażeby ich zabijać i pożerać! Rząd nie może zapobiedz klęsce, która z każdym dniem staje się okropniejszą. Zamiast zarządzić jakie roboty publiczne, ażeby ubogiej ludności nastręczyć sposobność zarobku, rząd przeciwnie powracać zaczyna teraz właśnie do starej polityki chińskiej: ignorowania wszelkiego postępu i zdawania wszystkiego na „bogów“. I tak np. jak donosi rządowi swemu generalny konsul Stanów Zjednoczonych p. Meyers, wydano w Pekinie rozkaz, ażeby bezzwłocznie zburzyć wybudowaną dopiero przed rokiem przez kampanią angielską kilkomilową drogę żelazną z Szanghaju do Wusung, która była pierwszą w Chinach!

Z wydanego niedawno spisu jenerałów i sztabsoficerów rossyjskich pokazuje się iż armia rossyjska po dzień 1 października liczyła: jenerałów-feldmarszałków 9; jenerałów pełnych 93; jen.-lejtnantów 355; jenerał-majorów 819, razem jenerałów 1276!

Godność jenerał feldmarszałków piastują: książę Fryderyk niderlandzki od 1840 r., arcyksiążę Albrecht austryacki od 1863 r.; książę następca tronu niemiecki i pruski od 1870 r., książę Fryderyk Karol pruski od 1871 r., książę August wirtemberski od 1871 r., hrabia Manteufel, książę Baratyński, hr. Wrangel (nied. zmarły) i hr. Moltke.

Weselisko, jakiego już dawno nie widziała Anglia i które od kilku miesięcy było już zapowiedziane przez dzienniki, odbyło się dnia 21 zm. w Londynie. Pierwszy pomiędzy książętami angielskiemi, ks. Norfolk, uważany za głowę katolickich rodzin szlacheckich w Anglii, ożenił się z lady Florą Hastings, należącą do rodziny ściśle protestanckiej, która wbrew woli tej rodziny przyjęła katolicyzm. Slub odbył się we wspaniale na ten cel przystrojonym kościele katolickim zwanym Oratory, w dzielnicy londyńskiej Brompton. Samego aktu dopełnił biskup w Southwark dr. Danell w asystencyi biskupów z Nottingham i Port Lewis. W orszaku weselnym znajdowali się: królewna Ludwika z małżonkiem swym markizem Lorne, księstwo Teck, lord Beaconsfield, oraz kilku ministrów, prałatów kościoła katolickiego, i cały nieledwie świat arystokratyczny londyński. Panna młoda ubrana była w białą atłasową suknią princess, ubraną koronkami brabanckiemi i kwiatem pomarańczowym. Na głowie miała koronę dyamentową i welon brukselski. Pan młody prowadzony był do ołtarza przez dwanaście drużek, również w „ciężkiej“ bieli, tj. w jedwabiach. Organ sfer arystokratycznych, Morning Post, podaje opis uroczystości weselnych, zajmujący całą kolumnę bitego druku. Z opisu tego przytaczamy tylko część wstępu, wyliczającego podarki ślubne, jakie zwyczajem angielskim otrzymała panna młoda. Najcenniejsze, rozumie się, złożył jej sam narzeczony, oprócz bowiem różnych ogromnych wartości klejnotów, także pamiątkowy naszyjnik perłowy, po Maryi Stuart. Od ojca swego otrzymała Lady Norfolk tyarę brylantową, od teściowej kolczyki brylantowe, od lorda Beaconsfield złoty flakonik perfumy misternej roboty oryentalnej, od miasta Sheffield naszyjnik brylantowy wartości 1000 gwinei, cenne książki od kardynała Manninga, wielki krucyfiks z słoniowej kości od gminy Arundel itd. Wkrótce po ślubie udali się młodzi małżonkowie osobnym pociągiem do zamku Arundel, letniej siedziby ks. Norfolk.

Najnowszym humbugiem amerykańskim jest podana przez Scientific Amer. wiadomość o wynalazku który prześcignąć już ma podziwiany właśnie w całym świecie telefon. Pismo rzeczone bowiem zapewnia, że niejaki p. Tomasz A. Edison w New-Jersey skonstruował przyrząd, który nazwał „fonografem“; a za pomocą którego na kawałku papieru da się utrwalić każda mowa, każdy dźwięk w taki sposób, iż po wielu nawet latach fale akustyczne, uwięzione niejako w owym papierze obudzić się dadzą i będzie można usłyszeć głos osób, oraz wyrzeczone przez nich słowa, chociażby osoby same już nie istniały na ziemi. Słowem „fonograf“ Edisona unieśmiertelniać ma dźwięki — jakkolwiek w naszych oczach wygląda ten wynalazek raczej na unieśmiertelnienie blagi...

Od Redakcyi.

Zapowiedziane prospektem Szan. Prenum. Tygodnia losowanie 200 dzieł nie może przyjść do skutku, z powodu iż rząd jak się dowiadujemy uważałby tę sprawę jako loteryę, a loterya w Austryi jest monopolem rządowym. W zamian za to rozeszlemy prenumeratorom pierwszy tomik „Spiewnika polskiego“, który oddany został do druku, a który sądzimy będzie miłym gościem w każdym domu polskim.

Prenumeratorom „Tygodnia“ zawsze przysługuje prawo nabywania za połowę ceny następujących dzieł:

Karola Darwina. Pochodzenie człowieka i dobór płciowy, wydanie illustrowane w 3 tomach, cena 12 złr. dla pren. 6 złr.

Reveillé-Paris, Starość, podręcznik lekarski. Cena 4 złr. dla pren. 2 złr.

Wundt, Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej 2 tomy. Cena 9 złr. dla pren. 4 złz.

Z tym numerem kończy się kwartał IV. Upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty na rok 1878.

Treść Nr. 18.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.